

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Paweł Kowal mówi o Konferencji Odbudowy Ukrainy, o Wołyniu, ekshumacjach

● Polacy zakochali się we wsi jak z Instagrama ● „Do przerwy 0:1”. Podwórko niczym Wembley

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA KOSZALIŃSKI

Piątek
26.06.2026

Nr 146 (5904)
Nakład: 9.390 egz.

www.gk24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Rozmowa z dr
Magdaleną Kolańską-
Stronką, psychologiem
z Uniwersytetu SWPS
str. 2

Region. Bitwa
o Krowę, czyli
coroczna rywalizacja
pomiędzy Białogardem
a Świdwinem **str. 3**

Kraj. Premier:
Przyszłość możemy
zbudować tylko
na prawdzie **str. 7**

Nr ISSN 1231-8124

Nr indeksu 348-570



Niezwykły dar dla muzeum



Koszalin. Dar, który trafił do muzeum, pomoże zanurzyć się w miasto z końca lat 50., 60., i 70. ubiegłego wieku **TYGODNIK REGIONÓW - STR. 9**

Podpisy zebrane. Będzie walne?
Gorąca atmosfera w KSM Na Skarpie
str. 3



Kraj. W Gdańsku o niezachwianym wsparciu
Europy dla Ukrainy. Trwają rozmowy
o odbudowie tego państwa **str. 23**

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544219

Rusza Pociąg Marzeń!
Dołącz do akcji i pomóż nam spełnić dziecięce marzenia.
Więcej na str. 22

PARTNER OGÓLNOPOLSKI
PARTNER OGÓLNOPOLSKI
PARTNER OGÓLNOPOLSKI

POLSKA PRESS GRUPA
POLREGIO
SKARBIEC
DRZAZGA CLINIC
LASEROTERAPIA & MEDYCYNA ESTETYCZNA
SGB
Pomorski Bank Spółdzielczy w Świdwinie
Spółdzielcza Grupa Bankowa
Enea Operator

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Paweł Wilczak od dziecka uwielbiał oglądać filmy	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Najlepsze polskie owoce dla cukrzyka	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Kim był prawdziwy Hans Klos	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
---	---	--	--	--	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Zakupy to nie zawsze jest niewinna przyjemność, a uzależnienie

Adam Willma
Rozmowa

Z dr Magdaleną Kolańską-Stronką, psychologiem z Uniwersytetu SWPS.

Temu, Aliexpress i podobne chińskie platformy przyciągają miliony klientów. Mają na nas haczyk?

Niestety, tak. I wielu ludzi nie potrafi sobie z tym poradzić, popadając w uzależnienie. Zakupoholizm to takie powtarzające się kupowanie, które nie służy zaspokajaniu naszych potrzeb, tylko regulowaniu emocji.

Czym innym jest sytuacja, gdy kupuję coś, bo rzeczywiście tego potrzebuję, a czym innym, gdy wchodzę na platformę zakupową bez konkretnego planu. Nie mam żadnej bieżącej potrzeby, ale zaczynam przeglądać oferty, wrzucać rzeczy do koszyka, zamawiam je i dzięki temu czuję się trochę lepiej. Wtedy zakupy przestają być odpowiedzią na potrzebę, a zaczynają pełnić inną funkcję.

Znam to z autopsji. Mój mózg mówi: „To narzędzie może się przydać”.

To często sposób uzasadniania zakupu. Tworzymy sobie wyobrażenie sytuacji, w której dana rzecz będzie potrzebna, tymczasem może się okazać, że nigdy jej nie użyjemy. Oczywiście konsumenci nie są całkowicie racjonalni. Każdemu zdarzają się zakupy pod wpływem impulsu czy chwili. Problem pojawia się wtedy, gdy staje się to stałym mechanizmem i regularnie kupujemy rzeczy, których nie potrzebujemy.

Kiedy polowanie na okazje zaczyna być niebezpieczne?

Kiedy zauważam, że w chwilach nudy, zdenerwowania, złości czy smutku automatycznie sięgam po telefon i otwieram platformę zakupową. Tak naprawdę nie planowałam niczego kupić, ale zaczynam przeglądać oferty i już samo to sprawia, że czuję się lepiej. W ten sposób przekierowuję uwagę z emocji na zakupy. To niebezpieczne,



Magdalena Kolańska-Stronka: - Zakupoholizm, podobnie jak pracoholizm, jest społecznie akceptowany czas trwającą dyskusją o naliczaniu składki zdrowotnej

ponieważ może wytworzyć się nawyk, który z czasem przeradza się w uzależnienie. Zamiast mierzyć się z emocjami, uczymy się od nich uciekać.

Jednym z sygnałów jest liczba zakupów. Jeśli kolejna paczka przychodzi już któryś raz w miesiącu, warto się zastanowić, czy wszystkie te rzeczy były rzeczywiście potrzebne. Drugim sygnałem są finanse. Jeżeli zaczyna brakować pieniędzy na podstawowe wydatki, a jednocześnie widzimy, że sporo wydaliśmy na platformach zakupowych, to znak, że coś poszło nie tak.

Łatwo powiedzieć, trudniej walczyć z algorytmami, w które uzbrojone są te sklepy.

Bardzo trudno. Dużo mówi się o tym, że mają one charakter manipulacyjny. Platformy są projektowane tak, by wywoływać w nas poczucie potrzeby zakupu. Kończy się czas promocji, pojawiają się kupony, punkty, informacje o ograniczonej liczbie produktów. Wszystko jest skonstruowane tak, by zachęcić nas do działania tu i teraz. Te mechanizmy są skonstruowane w taki sposób, żebyśmy mieli poczucie, że wygrywamy. Kiedy uda nam się skorzystać z promocji czy zdobyć dodatkowy rabat, pojawia się satysfakcja i wyrzut dopaminy.

Mamy poczucie skuteczności, jakbyśmy uczestniczyli w jakiejś rozgrywce. W rzeczywistości często kupujemy rzeczy,

których nie potrzebujemy, ale platformy są projektowane tak, byśmy skupiali się na emocjach związanych z zakupem, a nie na jego konsekwencjach.

Od 1 lipca zakupy z Chin mogą być droższe. Jak część klientów może zareagować na taką zmianę?

Jeśli ktoś nie był uzależniony od zakupów, prawdopodobnie pojawi się rozczarowanie, smutek albo złość. Możemy mieć poczucie, że tracimy coś, co było przyjemne i łatwo dostępne. Z czasem większość osób zapewne przyzwyczai się do nowej sytuacji i znajdzie inne sposoby spędzania czasu czy poprawiania sobie nastroju.

A co z osobami, które rzeczywiście regulowały emocje zakupami?

Dla nich taka zmiana może być trudniejsza. Jeżeli zakupy stały się sposobem radzenia sobie z emocjami, ograniczenie tej możliwości może powodować większy dyskomfort.

W skrajnych przypadkach może być potrzebna bardziej specjalistyczna pomoc, bo zakupoholizm jest uzależnieniem behawioralnym i wiąże się z różnymi konsekwencjami. Dla niektórych to jedna z nielicznych radości w życiu... Takie emocje są naturalne. Można odczuwać smutek, żal czy złość. Patrząc jednak długofalowo, być może pewne ograniczenia wyjdą

nam na korzyść. Kupujemy ogromne ilości rzeczy, których później nie używamy. Widzimy też, jak dużo plastiku i różnych przedmiotów trafia do kosza. Produkcja kolejnych rzeczy trwa, a wiele z nich okazuje się zupełnie zbędnych.

Często patrzymy wyłącznie na wydane pieniądze, a nie zauważamy kosztu czasu. Można wejść do sklepu, kupić potrzebną rzecz i wyjść po kilkunastu minutach, tymczasem platformy zakupowe potrafią zajmować nam godziny.

Wracamy do nich wielokrotnie w ciągu dnia, przeglądamy kolejne oferty, śledzimy promocje i przesyłki. To również jest koszt, choć rzadko go dostrzegamy. Popularność internetowych zakupów wynika z tego, że są one łatwo dostępne - wystarczy sięgnąć po telefon i zacząć przeglądać oferty. Znacznie więcej wysiłku wymaga wyjście na spacer, basen czy rozwijanie nowego hobby. Zdrowsze sposoby radzenia sobie z emocjami często wiążą się z większym wysiłkiem, dlatego tak łatwo wybieramy rozwiązania najprostsze.

Zjawisko zakupoholizmu narasta?

Tak, głównie dlatego, że to właśnie zakupy internetowe bardzo zmieniły nasze nawyki. Doszły odroczone płatności, darmowe zwroty i możliwość kupowania praktycznie bez wychodzenia z domu. Coraz więcej czasu poświęcamy na przeglądanie ofert, porównywanie produktów i myślenie o kolejnych zakupach. Na domiar złego, zakupoholizm, podobnie jak pracoholizm, jest społecznie akceptowany. Często nawet podziwiamy osoby, które znalazły wyjątkową promocję albo kupiły coś bardzo tanio. Postrzegamy je jako zaradne i ten sposób wzmocniamy także zachowania. Tymczasem warto zadać sobie pytanie, czy dana rzecz rzeczywiście jest nam potrzebna i jaką realną wartość wnosi do naszego życia. ©©

KALENDARIUM

26 CZERWCA POLSKA

1569 Zakończyły się negocjacje w sprawie Unii lubelskiej - porozumienia pomiędzy stanami Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego (podpisana została 1 lipca, a ostatecznie ratyfikowana przez króla Zygmunta II Augusta 4 lipca tego roku).

1812 Z polecenia Napoleona Bonaparte Sejm Księstwa Warszawskiego zawiązał Konfederację Generalną Królestwa Polskiego, która ogłosiła wskrzeszenie Polski i przyłączenie do niej prowincji zabranych.

1927 Prochy Juliusza Słowackiego po przewiezieniu do Polski złożono w Krypcie Wieszców w katedrze wawelskiej.

1956

W Poznaniu doszło do protestów robotniczych znanych jako „Poznański Czerwiec”, krwawo stłumionych przez wojsko i milicję.

ŚWIAT

1859

W angielskim Newcastle upon Tyne odbyła się pierwsza w historii wystawa psów rasowych.

1902

Kongres Stanów Zjednoczonych upoważnił rząd do nabywania francuskiej koncesji na wybudowanie Kanału Panamskiego.

1914

Austro-węgierski następcą tronu arcyksiężną Franciszkę Ferdynand Habsburg i jego żona Zofia von Chotek zostali zastrzeleni w Sarajewie przez serbskiego zamachowca Gavrila Principa, co stało się casus belli (pretekstem) I wojny światowej.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Pani Wiktoria z Mielna nie ma wątpliwości, że na upały najlepsze są lody. Według Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, w najbliższych dniach prognozowany jest szybki wzrost temperatur do wartości upalnych, sięgających miejscami 35-38 st. Kulminacja upałów prognozowana jest na niedzielę.

Nasz REGION

POGODA

Już w piątek w okolicach Białogardu, Szczecinka, Drawska Pomorskiego i Koszalina temperatura powietrza sięgnie 30 stopni Celsjusza. Nad morzem - w Mielnie, Kołobrzegu - będzie nieco mniej, do 26 stopni w cieniu. W sobotę upał, na Wybrzeżu 34, w głębi łądu już nawet 38 stopni Celsjusza. W niedzielę nad morzem 38 stopni, a w głębi łądu nawet 40 stopni Celsjusza. Gorąco ma być jeszcze w poniedziałek. **QBA**



FOT. GP24.PL

DYŻURNY GŁOSU

Tomasz Turczyn,
tel. 94 347 35 52
Na naszych Czytelników czekamy w redakcji Głosu Koszalińskiego w Koszalinie przy ul. Partyzantów 17 oraz pod adresem: alarm@gk24.pl

Podpisy zebrane. Walne Zgromadzenie blisko

Jakub Roszkowski
Koszalin

Niespodzianka w spółdzielni Na Skarpie w Koszalinie. Mieszkańcom udało się prawdopodobnie zebrać wymaganą liczbę głosów i w związku z tym zarząd spółdzielni będzie musiał zwołać kolejne Walne Zgromadzenie w ciągu najbliższych czterech tygodni.

O zwołanie kolejnego Walnego Zgromadzenia Koszalińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Na Skarpie walczą członkowie nieformalnej grupy opozycyjnej wobec obecnego zarządu - Grupa Skarpa. Poprzednie Walne, trwające łącznie sześć dni, zakończyło się tydzień temu. Podjęto na nim kluczowe decyzje: zmieniono statut, zatwierdzono obniżki wynagro-

dzeń członków Zarządu oraz Rady Nadzorczej. Sęk w tym, że tej Rady Nadzorczej już nie ma. Nie ma więc komu formalnie obniżyć wynagrodzenia. Poprzednia Rada została zawieszona przez sąd, a dodatkowo i tak skończyła się już jej kadencja. Zmiany w statucie natomiast były potrzebne, by móc ponownie przeprowadzić wybory członków nowej RN.

Zmiany zostały zatwierdzone, więc nie ma powodu, by wstrzymać wybory - mówi nam Maciej Tkaczyk z Grupy Skarpa. - Ale ponieważ Zarząd się ociąga, zdecydowaliśmy, bo prawo nam to umożliwia, zebrać co najmniej 10 procent głosów spółdzielców, którzy zażądają zwołania Walnego jak najszybciej. Oświadczam, że mamy już blisko 700 podpisów, a wymagana liczba to 560. Dlatego zgodnie z prawem składamy te



FOT. RADOŚLAW BRZOSZTEK

KSM Na Skarpie to druga pod względem wielkości spółdzielnia mieszkaniowa w Koszalinie, licząca około 5 tysięcy członków

podpisy z żądaniem do Zarządu i czekamy. Zarząd będzie miał cztery tygodnie na zwołanie Walnego - słyszymy.

Wiceprezes Spółdzielni Bartosz Mejer od nas dowiedział się, że spółdzielcom prawdopodobnie udało się zebrać wymaganą

liczbę podpisów. - Oczywiście będziemy musieli te podpisy zweryfikować, sprawdzić czy spełniają wymogi formalne - mówi nam wiceprezes. - Ja jednak uważam, że to zadziała na niekorzyść spółdzielni. Teoretycznie zmiany w statucie i re-

gulaminach są już zatwierdzone, ale wołałbym, żeby te wszystkie decyzje zostały ujęte w KRS. Bo może się okazać, że przeprowadzimy wybory, a później jedna albo druga grupa złoży wnioski do sądu o unieważnienie wyborów. To byłoby

niekorzystne. Wołałbym, byśmy uniknęli już sporów w sądzie. Wrzesień jest moim zdaniem bardzo bezpiecznym terminem na zwołanie kolejnego Walnego - dodaje nasz rozmówca.

Zmiany nie muszą być ujęte w KRS, więc nic to nie zmienia i nie ma żadnych zagrożeń - ripostuje Maciej Tkaczyk. - W piątek składamy nasze dokumenty do Zarządu i liczymy termin. Jeśli Zarząd nie zwoła Walnego w ciągu tych czterech tygodni, zrobi to Związek Rewizyjny bądź Krajowa Rada Spółdzielni. Do nich też złożyliśmy odpowiednie wnioski - poinformował.

Spółdzielcy chcą, by na kolejnym Walnym Zgromadzeniu zostały przeprowadzone wybory nowej Rady Nadzorczej oraz - w związku z nieudzieleniem absolutorium - został odwołany prezes Leszek Ślipek.

Bitwa o Krowę czyli coroczna rywalizacja pomiędzy Białogardem a Świdwinem

Jakub Roszkowski
Region

Już na najbliższą niedzielę, czyli 28 czerwca, zaplanowana została Bitwa o Krowę, coroczne sportowo-rozrywkowe wydarzenie, podczas którego mieszkańcy Białogardu walcą z mieszkańcami Świdwina.

To bitwa upamiętniająca historyczne zdarzenie sprzed 500 lat, gdy rzeczywiście doszło do wojny między Świdwinem a Białogardem właśnie o wspomnianą krowę. Teraz mieszkańcy walcą w sportowych konkurencjach, raz w Białogardzie, raz w Świdwinie. W tym roku wypadło na gród Świdwin.

Wydarzenie będzie rozgrywane na świdwińskim pod-



FOT. ARCHIWUM

Tegoroczna edycja Bitwy o krowę rozpocznie się o godzinie 14 na podzamczu w Świdwinie

zamczu. Obok turnieju głównego zaplanowano też warsztaty i pokazy średniowiecznego rzemiosła, nauki, warsztaty dawnych technik włókienniczych, ceramiczne, tkackie, a nawet kaligrafii. Przewidziano naukę tańca średniowiecznego, stoisko z instrumentami dawnymi oraz pasjonujące opowieści z krańców świata.

Partnerem strategicznym tegorocznej Bitwy o Krowę będzie LOTTO. Impreza zacznie się o godzinie 13:00 przywitaniami drużyny z Białogardu na stacji PKP. Po przemarszu ulicami miasta turniej rozpocznie się o godzinie 14. Finał i zwycięzców powinniśmy poznać najpóźniej o godzinie 17:00.

Wstęp na imprezę jest darmowy.

KRÓTKO

KOSZALIN
Podatki od nieruchomości w Koszalinie będą wyższe

16 radnych „za”, pięcioro przeciw, jeden głos wstrzymujący - radni Rady Miejskiej w Koszalinie zatwierdzili w czwartek, podczas sesji, projekt uchwały wprowadzającej nowe, wyższe stawki podatku od nieruchomości. Podatki od nieruchomości wzrosną w Koszalinie w 2027 roku średnio o 4,5 procent, czyli o tyle, ile wyniosła inflacja.

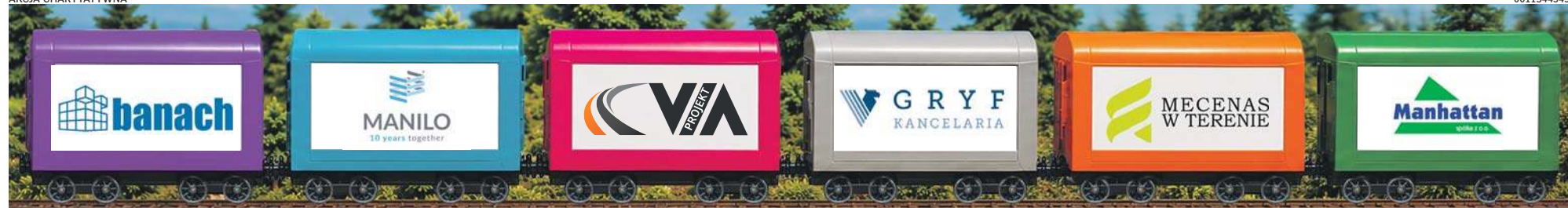
Od nowego więc roku podatek od gruntu związanego z prowadzeniem działalności gospodarczej wyniesie 1,45 zł od metra kwadratowego powierzchni (więcej o 7 groszy), a od pozostałych gruntów 77 groszy za każdy metr kwadratowy powierzchni (podwyżka wynosi 4 grosze). Natomiast podatek od budynków mieszkalnych wyniesie 1,25 zł za każdy metr kwadratowy

powierzchni (podwyżka 6 groszy). Od budynków związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej oraz od budynków mieszkalnych lub ich części zajętych na prowadzenie działalności gospodarczej podatek wyniesie 35,53 zł za każdy metr (wzrost o 1,53 złotego).

W wyniku zwiększenia stawek podatkowych dochody Koszalina z tytułu podatku od nieruchomości wzrosną w 2027 roku w stosunku do roku 2026 o kwotę 4,3 mln złotych. „Za” głosowali wszyscy radni Koalicji Obywatelskiej, radny Błażej Papiernik i Przemysław Krzyżanowski ze Wspólnego Koszalina, wstrzymał się Piotr Jedliński, przeciw byli Wiktor Kamienniarz, Żaneta Kwapisz, Artur Wiśniewski, Miłosz Janczewski i Andrzej Jakubowski. Nie głosowała - nie było jej na sesji - radna Oliwia Skórka. **QBA**

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544343



Jest zgoda na połączniew „Gruźlika” ze Szpitalem Wojewódzkim

Tomasz Turczyn
Dartowo

Radni Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego - podczas wyjazdowych obrad w Dartowie - zatwierdzili uchwałą połączenie Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc (tzw. „Gruźlik”) w Koszalinie i Szpitala Wojewódzkiego im. Mikołaja Kopernika w Koszalinie.

„Za” przyjęciem uchwały było 19 radnych, „przeciw” - 7.

- Tak jak zapowiadaliśmy, konsekwentnie prowadzimy konsolidację naszych jednostek szpitalnych. Mają one za zadanie wzmocnić je kadrowo i finansowo - mówił wczoraj w Dartowie Olgierd Geblewicz, marszałek zachodniopomorski.

Podkreślił, że konsolidacja to też benefity dla pacjentów, którzy będą mieć ułatwione korzystanie z usług jednostek służby zdrowia. Zaznaczył, że konsolidacja to lepsze zabez-

pieczenie wschodniej części województwa zachodniopomorskiego w opiekę zdrowotną i dodał, że dla pacjentów się nic się nie zmieni. W odpowiedzi Klub Radnych PiS wyraził sprzeciw dla konsolidacji.

- Mówimy tutaj o likwidacji szpitala tzw. potocznie „Gruźlika”. Znika z mapy Koszalina samodzielny szpital, który jest historią tego miasta - podkreślił radny Krzysztof Nieckarz z PiS, który powątpiewał, że wszystko odbędzie się bez szkody tak, jak to opisywał marszałek zachodniopomorski. Zapowiedział, że klub radnych zgłasza sprzeciw przeciwko połączeniu.

Marszałek odpowiedział, że konsolidacja była szeroko konsultowana ze środowiskiem służby zdrowia i to pozytywnie się wypowiada w tej sprawie.

- W ramach połączenia zostanie zlikwidowane tylko jedno stanowisko. Stanowisko dyrektora Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc.



Po połączeniu koszaliński szpital będzie zatrudniać około 1800 osób

Nie warto powodować niepokojów społecznych - akcentował Olgierd Geblewicz.

- Dziwię się pozytywnej opinii związków zawodowych. Inne opinie są: „Kopiuje - wklej”, bo konsolidacja już przerabialiśmy w przeszłości - powiedział Krzysztof Nieckarz zaznaczając, że na rynku jest deficyt pracowników służby

zdrowia i oni na pewno sobie poradzą.

Po tej wymianie zdań radni przystąpili do głosowania nad wyżej wymienianym projektem uchwały. Sejmik mógł podjąć taką uchwałę, gdyż samorząd ten jest organem tworzącym obie jednostki koszalińskiej służby zdrowia. W tym przypadku podmiotem przejmującym jest Szpital Wojewódzki. Połączenie ma nastąpić automatycznie z dniem wykreślenia z Krajowego Rejestru Sądowego (KRS) Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc. W praktyce od tego momentu Szpital Wojewódzki przejmuje kierowanie „Gruźlikiem”. M.in. świadczenie usług zdrowotnych, czy mienie tej placówki.

Z dniem połączenia pracownicy Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc stają się pracownikami Szpitala Wojewódzkiego. Formalnie cały proces zmian ma potrwać nie krócej niż trzy miesiące, ale nie dłużej niż pół roku. Zatwierdzona uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od jej opublikowania w Dzienniku Urzędowym Województwa Zachodniopomorskiego.

W marcu br. Urząd Marszałkowski w Szczecinie podjął decyzję o włączeniu Specjalistycznego Zespołu Gruźlicy i Chorób Płuc w strukturę Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie. Skonsolidowany szpital zatrudniać będzie 1800 osób, dysponować 24 oddziałami szpitalnymi, 573 łózkami oraz 47 poradniami.

Wyjazdowe obrady Sejmiku Zachodniopomorskiego zorganizowano w Dartowie w tutejszym Zamku Książąt Pomorskich. Poprzednie takie obrady miały tutaj miejsce 10 lat temu.

0011545620

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 25 czerwca 2026 roku odeszła od nas Kochana Córka, Mama, Babcia i Siostra

śp. Gabriela Hołub

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się 29 czerwca 2026 roku o godzinie 10.30 w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie. Msza Święta Żałobna zostanie odprawiona w dniu pogrzebu o godzinie 9.30 w kościele pw. św. Wojciecha w Koszalinie.

Pograżona w smutku rodzina

KOMUNALNY ZAKŁAD POGRZEBOWY

0011544029

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 22 czerwca 2026 roku odszedł od nas Kochany MĄŻ, TATA, DZIADEK i PRADZIADEK

LESŁAW MACIEIK

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się 27 czerwca 2026 roku o godzinie 11.00 w Kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie

Pograżona w smutku Rodzina

ZAKŁAD POGRZEBOWY ATENA

0011544449

Z żalem i smutkiem informujemy, że w dniu 20.06.2026 r. w wieku 93 lat odszedł

Andrzej Tyszecki

architekt i artysta

Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek życzliwy, oddany swojej pracy, pasjom i ludziom, których spotykał na swojej drodze.

Wielki miłośnik zwierząt.

Ceremonia pożegnalna odbędzie się dnia 29.06.2026 r. o godz. 12.30 w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie.

Pograżona w smutku rodzina

10 lat Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej TPD w Koszalinie

Joanna Boroń
Koszalin

To już 10 lat działalności Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Koszalinie. Przez dekadę była ona miejscem, w którym dzieci znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej otrzymywały nie tylko dach nad głową, ale przede wszystkim bezpieczeństwo i wsparcie.

Placówka rozpoczęła swoją działalność 1 lutego 2016 roku w Starych Bielicach. W kolejnych latach została przeniesiona do Koszalina, na ul. Bajkową, gdzie do dziś zapewnia dzieciom potrzebującą opieki, wsparcia i poczucia bezpieczeństwa prawdziwy dom.



Jubileusz stał się okazją do podziękowania wszystkim osobom, które przez lata współtworzyły placówkę i wspierały jej misję, a przede wszystkim pracownikom.

Henryk Zabrocki, prezes Zarządu Oddziału Okręgowego TPD w Koszalinie, podkreślił, że od początku przyświecał placówce prosty cel - stworzenie dzieciom znajdującym się

w trudnej sytuacji prawdziwego domu. Miejsca, w którym będą czuły się bezpiecznie i dobrze, a jednocześnie będą uczyć się odpowiedzialności za wspólną przestrzeń.

- Nie mam wątpliwości, że ten cel udało się osiągnąć - mówił podczas jubileuszowej uroczystości.

W ciągu minionej dekady w placówce zamieszkało 57 dzieci. Każde z nich trafiło tu z własną historią i bagażem trudnych doświadczeń. Dla wielu był to pierwszy od dawna bezpieczny dom - miejsce, w którym mogły odzyskać poczucie stabilizacji, odbudować zaufanie i uwierzyć we własne możliwości.

Równoległe placówka realizowała także zadania interwencyjne. W sytuacjach kryzysowych jej pracownicy objęli opieką aż 157 dzieci, którym należało natychmiast zapewnić bezpieczeństwo i niezbędne wsparcie. Najmłodsze z nich miało zaledwie sześć miesięcy.

0011545448

Wyrazy głębokiego współczucia

Monice Bukowskiej

z powodu śmierci

Siostry

składają Zarząd i Pracownicy Grupy Kapitałowej JANTAR Sp. z o.o. w Słupsku

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:
Koszalin, ul. Partyzantów 17, 94 347 35 11
reklama.koszalin@polskapress.pl

Przetwórstwo stabilizuje dochody. Będą dotacje na rozwój małych masarni, serowarni

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Od 1 października 2026 r. mali producenci rolni będą mogli wnioskować o dotacje na rozwój przetwórstwa, które prowadzą w gospodarstwach.

- Może nie jest to główne źródło dochodu, ale istotne - mówi Janusz Adamczyk, który prowadzi gospodarstwo mleczne w Kosowie koło Świecia.

Przetwórstwo to istotne źródło dochodu w gospodarstwie

10 kwietnia 2026 roku za kilogram tuczniaka pierwszej klasy kujawsko-pomorskie skupy płaciły rolnikom od 5 do 5,5 złotych. A ile kosztuje kilogram kiełbasy? Nawet 40 złotych. To powód, dla którego coraz więcej rolników stawia na przetwórstwo.

- Jak zacytaliśmy przygodę z robieniem serów, to było ciekawe hobby, ale po czasie klienci

zaczęli dopytywać o nasze produkty i zrobiło się z tego może nie główne źródło dochodu, ale istotne - mówi Janusz Adamczyk, który prowadzi gospodarstwo mleczne w Kosowie koło Świecia.

Dlatego samorząd rolniczy wystąpił do ministra rolnictwa o wsparcie przetwórstwa w gospodarstwach rolnych.

- Obecna sytuacja ekonomiczna, charakteryzująca się rosnącymi kosztami produkcji, niestabilnością cen surowców oraz ograniczonym wpływem producentów na ostateczną cenę produktów wymaga wdrożenia rozwiązań systemowych zwiększających dochodowość i konkurencyjność rolników - argumentował

- Budżet wynosi 51 milionów euro. Nabór wniosków odbędzie się od 1 października do 2 listopada 2026 roku - zapowiada resort rolnictwa.



FOT. ANNA KACZMARZ

Za kilogram tuczniaka 1 klasy kujawsko-pomorskie skupy płacą rolnikom od 5 do 5,5 zł. A ile kosztuje kilogram kiełbasy? Nawet 40 zł. To powód, dla którego coraz więcej rolników stawia na przetwórstwo

Wiktor Szmulewicz, prezes Krajowej Rady Izb Rolniczych w piśmie do ministra rolnictwa.

Gospodarka korzysta na rozwoju lokalnego przetwórstwa

- Rozpoczynanie lub rozwijanie działalności przetwórczej

pozwala ograniczyć wpływ sytuacji, na które - jak słusznie wskazuje KRIR - producenci rolni mają niewielki lub żaden wpływ - zgodził się Stefan Krajewski, Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Zaliczył do nich:
● niestabilność cen surowców,

● rosnące koszty produkcji,
● brak wpływu na ostateczne ceny produktów oferowanych w długim łańcuchu dostaw zdominowanym przez duże sieci handlowe.

- Rozwój krótkich łańcuchów dostaw przynosi szereg korzyści gospodarczych i społecznych - dodał minister rol-

nictwa. - Zacieśnia relacje pomiędzy producentami a konsumentami, wzmacnia lokalne rynki zbytu, ogranicza koszty transportu i wpływa korzystnie na środowisko. Umożliwia ponadto zachowanie tradycyjnych metod produkcji oraz zwiększenie rozpoznawalności produktów lokalnych, co w dłuższej perspektywie przyczynia się do stabilizacji dochodów rolników - wyliczył Krajewski.

51 mln euro do podziału

Dlatego w Planie Strategicznym WPR przewidziano wsparcie inwestycji służących skróceniu i dywersyfikacji łańcucha dostaw produktów rolnych i spożywczych. Obejmują zarówno inwestycje materialne, jak i niematerialne, związane z przetwarzaniem, sprzedażą /zbywaniem czy wytwarzaniem produktów nierolnych.

- Budżet wynosi 51 milionów euro. Nabór wniosków odbędzie się od 1 października do 2 listopada 2026 roku - zapowiada resort rolnictwa. ©

MATERIAL INFORMACYJNY WARTY

0011544259

Bezpieczny biznes bez zbędnej biurokracji

Nie ma pojęcia o małym biznesie, kto nie miał problemu z wyborem właściwych kodów PKD dla swojej działalności. Tymczasem mało czytelny i z pozoru nieistotny dla początkujących przedsiębiorców proces miewa poważne, a często wręcz tragiczne skutki dla rozwiniętych już biznesów. Aż do rewolucyjnej zmiany, jaką na rynku wprowadziła Warta, która - jako pierwsza w Polsce - ubezpiecza biznes od tego, na co się z klientem umówi, a nie od tego, co kiedyś zadeklarował, że planuje robić, wybierając kody PKD.

Czym są kody PKD? Rejestracja w Polsce każdego rodzaju działalności: od jednoosobowej firmy po wielkokałtowaną spółkę z o.o. wymaga m.in. zadeklarowania rodzaju planowanej działalności. Można ją jednak określić tylko zgodnie z urzędowym wykazem możliwych działalności, ujętym w tzw. Polskiej Klasyfikacji Działalności (PKD właśnie). Znajdziemy tam 21 sekcji, podzielonych na 88 działów, z których wybieramy jedną z 272 grup, podzielonych na 615 klas i ułożonych w 654 podklasach.



Ale to jeszcze nie wszystko. Przeanalizujmy proces rejestrowania działalności na przykładzie kowala. Zgłaszając swoją przyszłą firmę do państwowego rejestru, we właściwej rubryce wpisze on: 25.50.Z. To kod PKD opisujący działalność: „kucie, prasowanie, wyłaczanie i walcowanie metali; metalurgia proszków”.

To będzie dla kowala tzw. działalność przeważająca, czyli główna. Każda firma musi taką wskazać, a do tego

może wybrać jeszcze dodatkowe działalności (i przypisane do nich kody PKD). Nasz kowal powinien wpisać więc jeszcze przynajmniej: 25.73.Z - to produkcja narzędzi, bo bez tego nie mógłby zrobić np. topaty czy młotka.

Na jego miejscu zaznaczylibyśmy także kod 43.99.Z: po zgłoszeniu działalności opisanej pod tym kodem jako „pozostałe specjalistyczne roboty budowlane, gdzie indziej niesklasyfikowane”, będzie mógł samodziel-

nie montować klientom np. okucia bram.

I tak dalej. Jeśli kowal zdecydował się na jednoosobową działalność gospodarczą, którą zgłasza się w CEiDG (Centralnej Ewidencji i Informacji o Usługach Gospodarczych), to nie ma ograniczeń w ilości wybranych kodów PKD. Wszystkie większe podmioty gospodarcze, rejestrowane w KRS (Krajowym Rejestrze Firm) obowiązują limit: według polskiego prawa nie mogą one prowadzić

więcej niż 10 rodzajów działalności, „mieszczących” się w klasyfikacji PKD.

Widzimy już więc, że procedura nie jest prosta i może być źródłem wielu problemów i nieporozumień. Z jednej strony kody PKD nie nadążają za zmiennością modeli biznesowych - w czasach, gdy nowe zawody i usługi powstają już nie w ciągu lat, a miesięcy. Z drugiej strony same firmy, rozwijając się, łączą różne rodzaje aktywności, wchodzą w nowe branże, nieustannie zmieniają i poszerzają ofertę. Łatwo wtedy zapomnieć o konieczności aktualizacji tych zmian w zapisach PKD.

Częściowym usprawiedliwieniem dla przedsiębiorców mogą być wyniki badań, przeprowadzonych wśród nich w tym roku przez Instytut Keralla Research na zamówienie Warty. Aż 25% właścicieli firm, wskazując na bariery ograniczające ich rozwój, wskazało biurokrację. Do której z pewnością zaliczają także proces wyboru kodów PKD. A tymczasem aż 42% z nich nie ma świadomości konsekwencji ubezpieczeniowych, jakie mogą być skutkiem niepełnych danych

o PKD. Tymczasem wiele polis dla firm uzależnia zakres ochrony od kodów PKD, które nie zawsze w pełni odzwierciedlają rzeczywisty profil aktualnej działalności.

Dlatego Warta, jako pierwszy ubezpieczyciel na rynku, wprowadziła w 2025 r. rozwiązanie, wychodzące naprzeciw rzeczywistym potrzebom przedsiębiorców, a polegające na oferowaniu ubezpieczenia dla firm bez deklaracji kodów PKD. Inaczej mówiąc, Warta zabezpiecza faktyczną działalność klientów, nie odnosząc się do wpisów w rejestrach.

Ta z pozoru niewielka zmiana warunków jest elementem trwającej rewolucji na rynku ubezpieczeń, prowadzonej w duchu dopasowywania ofert ubezpieczeniowych do faktycznych potrzeb przedsiębiorców, przedstawianych w polisach w maksymalnie przejrzysty i zrozumiały sposób. Zmian, w których relacje firma-ubezpieczyciel to umowa rynkowych praktyk, którzy rozumieją biznes. Umowy, z której Warta wywija się niezależnie od tego, czy i jakie dane firma ma zapisane aktualnie w państwowym rejestrze.

Pierwszy skok cichociemnych

Łukasz Płatek

Cichociemnych kojarzymy często z polskiego serialu telewizyjnego „Czas honoru”. Fabuła serialu - inspirowana historią polskich skoczków, którzy „najkrótszą drogą” powrócili do okupowanej przez Niemców Polski - mówi wiele o roli, jaką pełnili w czasie okupacji. Początki przetrwania lotniczego do Polski w czasie II wojny światowej cichociemnych, pieniędzy i broni nie były jednak łatwe

Popręganą wojnie obronnej, jesienią 1939 r. rozpoczęło się odtwarzanie Wojska Polskiego na terenie Francji. Równolegle w okupowanym kraju powstawała tajna ogólnokrajowa organizacja Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Przygotowująca się do wybuchu powstania powszechnego krajowa konspiracja potrzebowała pieniędzy, broni i specjalistów, których w okupacyjnych realiach szybko wyszkolić się nie dało.

Nadzieje i niepowodzenia

Od jesieni 1939 r. doskonale funkcjonowała łączność z krajem przez kurierów. Przenosili oni rozkazy, instrukcje, pieniądze i niewielkie ilości broni. Ale to było za mało, aby zaspokoić rosnące z każdym miesiącem okupacji potrzeby finansowe, kadrowe i zaopatrzeniowe ZWZ.

Pomysł wysyłania do kraju skoczków spadochronowych, przewożących pieniądze i rozkazy, a także przetrzucania sprzętu wojskowego, zrodził się jesienią 1939 r. zarówno w Sztabie Naczelnego Wodza, jak i w gronie entuzjastów lotnictwa, zawodowych saperów, a prywatnie przyjaciół Jana Górskiego ps. „Chomik” i Macieja Kalenkiewicza ps. „Kotwicz”. W związku z nieprzekazaniem przez Francuzów choćby jednego samolotu Polacy podjęli kilka prób samodzielnego nawiązania łączności lotniczej z krajem. Żadna z nich się jednak nie udała.

W czerwcu 1940 r. po kapitulacji Francji polskie władze przeniosły się na Wyspy Brytyjskie. Tutaj, po powołaniu przez Brytyjczyków w lipcu 1940 r. organizacji Special Operations Executive (SOE), mającej wspierać tajne organizacje w krajach okupowanych przez III Rzeszę, atmosfera do zorganizowania łączności lotniczej była znacznie korzystniejsza. Zrzucanie do Polski na spadochronach dywersantów uderzających w niemieckie linie komunikacyjne, łącznościowe



Brytyjski średni bombowiec Armstrong Whitworth Whitley. Przy użyciu samolotu tego typu RAF zrealizowała operację „Adolphus”

i infrastrukturę krytyczną idealnie wpisywało się w plany brytyjskiej SOE.

Action station - go!

Trasa z Wielkiej Brytanii do Polski przekraczała realny zasięg ówczesnych samolotów. Wiedział o tym doskonale brytyjski pilot, który 20 grudnia 1940 r., siedząc za sterami dwusilnikowego Whitleya i analizując trasę, odmówił wykonania dwustronnego lotu do Polski. Sytuacja dwa miesiące później była o tyle lepsza, że w samolocie zamontowano dodatkowe zbiorniki paliwa, co miało dać szansę na realizację zadania.

Na miejsce zrzutu wytypowano miejscowość Kobyla Wieś, położoną około 7,5 km od Włoszczowy. Hasłem skoczków po wylądowaniu było: „Janek”, a odzewem „Adam”. W razie skoku poza wyznaczonym terenem hasło zmieniło się na: „Przychodzę do Janka”, a odzew „Czy Adam?”.

W sobotę, 15 lutego 1941 r. około godz. 18, do brytyjskiego dwusilnikowego średniego bombowca typu Armstrong Whitworth Whitley wsiadło trzech polskich spadochroniarzy: mjr Stanisław Krzymowski ps. „Kostka”, rtm. Józef Zabielski ps. „Żbik” oraz rządowy kurier polityczny bombardier Czesław Raczkowski ps. „Orkan”. Poza dużymi sumami pieniędzy, które wieźli dla konspiracji w kraju, ciążyły skoczkom także słowa gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który po-

zegnał śmiałków słowami: „Macie udowodnić, że łączność z krajem jest w naszych warunkach możliwa”.

Skoczkowie przeszli w zasadzie tylko kilkutygodniowe podstawowe szkolenie spadochronowe. Na inne kursy nie było czasu. Marszruta samolotu miała być najkrótsza i prowadzić nad Niemcami. Whitley przeleciał nad kanałem La Manche. Ostrzelany po drodze przez artylerię przeciwlotniczą, szczęśliwie przeleciał w okolicach Berlina, Wrocławia, Częstochowy i Krakowa. Gdy załoga zorientowała się w swoim niewłaściwym położeniu, mając świadomość zużycia połowy paliwa, despatcher odpowiedzialny za zrzut wydał komendę przygotowania się do skoku: „Action station”, a chwilę później komendę do skoku: „Go!”.

Pierwszy wyskoczył „Kostka”. Po nim nastąpiła dłuższa chwila przerwy, bowiem w tym czasie miano wyrzucić cztery metalowe zasobniki na spadochronach - z bronią, radiostacjami, materiałami wybuchowymi. Tak się jednak nie stało i dopiero po pewnym czasie po „Kostce” z samolotu wyskoczyli „Żbik” i „Orkan”. Samolot nawrócił nad miejsce zrzutu skoczków i w kolejnym podejściu wyrzucił zasobniki.

„Jesteśmy nie tam”

Zrzutkowie wylądowali na zamrzniętych podmokłych łąkach w niedzielę, 16 lutego, pół godziny po północy.

Na przybyszów nikt nie czekał. Nikt nie wołał w ich kierunku ani „Janek”, ani „Przychodzę do Janka”. Panowała głucha cisza przerywana tylko ujadaniem psów z okolicznej wsi.

„Orkan” i „Żbik” nie mogli odnaleźć „Kostki”. „Żbik” przy zetknięciu z zamrzniętym podłożem skrzył kostkę, co znacznie utrudniało mu chodzenie. Po kilku godzinach spędzonych w lesie zmarznięci skoczkowie zdecydowali się podejść do najbliższych zabudowań. W pierwszym domu, do którego zapukali, gospodarz Jerzy Szwarz zsalutował na powitanie Heil Hitler. Wchodząc do domu, skoczkowie zauważyli portret Führera na ścianie. Prowadząc konwersację nienaganną niemiecką, zrzutkowie zorientowali się, że wylądowali we wsi Baumgarten (Dębowiec) na Śląsku Cieszyńskim, czyli ponad 130 km od miejsca docelowego. „Żbik” tłumacząc, że przy załadunku drewna na sanie doznał urazu, poprosił gospodarzy o podwózkę na najbliższą stację kolejową do Skoczowa, by stamtąd udać się do szpitala w Bielsku. Ponieważ rodzina Szwarców nie miała wozu ani sań, skoczkowie po zagrzaniu się poszli po pomoc do sąsiedniego, tym razem już polskiego gospodarstwa państwa Stellerów. Zapłaciwszy gospodarzowi pieniędzmi przywiezionymi z Anglii, cichociemni otrzymali podwodę na stację kolejową w Skoczowie. Gospodarz domu napomniany przez

żonę, która nie chciała się zgodzić na to, by mąż wpakował się w kłopoty, kazał swojemu siedmioletniemu synowi Emilowi „zawieźć panów tam, gdzie jeździł z ojcem po węgiel”. Chłopiec spisał się wzorowo. Ze Skoczowa dotarli pociągiem do Bielska. Następnie „Żbik” i „Orkan” rozdzieli się.

„Żbik” po wyleczeniu nogi w okolicach Nowego Sącza dotarł do Warszawy. „Orkan”, mimo wpadki przy przekraczaniu granicy między III Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem, bezbłędnie zagrał rolę przemytnika i po trzymiesięcznej odsiadce oraz zapłaceniu grzywny przez żołnierzy BCH, z którymi w więzieniu w Wadowicach udało mu się skontaktować, pod koniec maja również zjawił się w Warszawie. Najszybciej, bo już sześć dni po wylądowaniu, w Warszawie zameldował się pierwszy cichociemny „Kostka”, który nie miał takich problemów, jak „Żbik” i „Orkan”.

Wszyscy trzej po obowiązkowej aklimatyzacji, czyli przyzwyczajeniu się do warunków okupacji i poznaniu zasad konspiracji w praktyce, otrzymali swoje wojskowe przydziały. Kurier polityczny „Orkan” przekazał Delegatowi Rządu na Kraj instrukcje, pieniądze oraz z zapalem przystąpił do organizacji łączności radiowej Delegatury Rządu na Kraj. „Kostka” i „Orkan” skierowani zostali do Okręgu ZWZ Radom-Kielce, gdzie podjęli się organizacji placówek odbiorczych.

„Wywalcz Jej wolność”

Od jesieni 1939 r. najpierw we Francji, a od 1940 r. w Wielkiej Brytanii Polacy próbowali udowodnić, że bezpieczny lot do kraju, zrzucenie na spadochronach ludzi z pieniędzmi, radiostacją i bronią są możliwe.

W operacji z 15 na 16 lutego 1941 r., noszącej prześmiewczy kryptonim „Adolphus”, wiele rzeczy poszło nie tak jak zaplanowano. Skoczkowie nie byli poinformowani, że zostali zrzuceni na terenach wcielenych do III Rzeszy Niemieckiej. „Żbik” skrzył kostkę, co mogło doprowadzić do jego szybkiego aresztowania. Brytyjski Whit-ley powrócił na lotnisko Stradishall pod Newmarket z tak małą ilością paliwa w zbiorniku, że jeszcze 15-20 minut lotu i spadłby na ziemię lub do wody niczym bezwładny kamień. Niemcy szybko też odnaleźli wszystkie zasobniki, spadochrony oraz kombinezony skoczków ukryte w sitowiu, wystawiając za poszukiwanymi listy gończe z zawrotną nagrodą 50 tysięcy marek niemieckich za podanie informacji o skoczkach.

Ale najważniejsze się udało. Udowodniono, że dwustronne loty z Wielkiej Brytanii do okupowanej Polski, choć skrajnie długie i niebezpieczne, po dopracowaniu pewnych szczegółów są możliwe. Udało się też zawstydzić alianców, gdyż operacja „Adolphus”, była pierwszym w czasie II wojny światowej zrzutem alianckich żołnierzy na tereny zajęte i okupowane przez III Rzeszę.

Natychmiast przystąpiono w Wielkiej Brytanii do szkolenia polskich dywersantów, radiooperatorów, wywiadowców, oficerów sztabowych, specjalistów od broni pancernych, lotnictwa czy legalizacji (podrabiania dokumentów), których potrzebowała konspiracja w kraju.

Po dziewięciu miesiącach przerwy loty łącznikowe do Polski wznowiono w nocy z 7 na 8 listopada 1941 r. i kontynuowano do końca 1944 r. Przerzucono łącznie 316 cichociemnych, 28 kurierów politycznych, miliony dolarów amerykańskich, marek niemieckich i złotych okupacyjnych, a także tysiące sztuk broni, amunicji i setki radiostacji. A wszystko dzięki determinacji żołnierzy ZWZ/AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz ochotniczemu zaciągowi odważnych cichociemnych, skaczących do Polski w myśl maksymy: „Wywalcz Jej wolność lub zgiń”.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

NA DROGACH

Nocny wypadek pod Lublinem

Do poważnego wypadku drogowego doszło w nocy z środy na czwartek w miejscowości Dys pod Lublinem. Samochód był prowadzony przez 16-latkę.

- Kierujący stracił panowanie nad pojazdem, wypadł z drogi, uderzając w drzewo i ogrodzenie posesji, a następnie zatrzymał się na dachu - przekazał podinspektor Kamil Gołębiowski z Komendy Miejskiej Policji w Lublinie.

Na miejsce natychmiast skierowano służby ratunkowe. W trakcie interwencji

okazało się, że kierujący nie miał uprawnień do prowadzenia pojazdów. Ponadto po przebadaniu na zawartość alkoholu w organizmie okazało się, że pasażerowie byli pijani. Stan kierującego nie pozwolił na badanie. Wszystkie osoby podróżujące pojazdem zostały przetransportowane do szpitala dziecięcego. Każda z nich doznała obrażeń ciała, jednak stan dwóch osób jest szczególnie ciężki. 16-letni kierowca znajduje się w stanie zagrożającym życiu. ASz

PRZEMYSŁ

Bielszowice kończą fedrowanie



Wczoraj na powierzchnię wyjechała ostatnia tona węgla z kopalni Bielszowice. Proces jej likwidacji rozpocznie się 1 lipca i potrwa 4 lata. Kopalnia Bielszowice zostanie połączona z Halembą. Na zdjęciu: dyrektor KWK Ruda Jacek Kowalczyk na symbolicznym zakończeniu wydobycia węgla.

TRAGEDIA

7-latka zginęła w pożarze domu

7-letnia dziewczynka zginęła w pożarze domu w miejscowości Czarna Woda w powiecie starogardzkim (woj. pomorskie).

Jak poinformowali strażacy z KW PSP w Gdańsku, pożar wybuchł przed godziną 8 rano i szybko objął cały budynek. Na miejsce skierowano kilkanaście zastępów straży pożarnej. Strażacy rozpoczęli prze-

szukiwanie domu oraz gaszenie. - Z budynku w momencie przyjazdu straży pożarnej ewakuowały się trzy osoby: matka oraz dwójka dzieci w wieku 7 i 9 lat. Podczas przeszukiwania domu strażacy odnaleźli zwęglone ciało siedmioletniej dziewczynki - powiedział rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego PSP w Gdańsku Dawid Westrych.

SPOŁECZEŃSTWO

Edukacja prawna, ochrona przed cyberprzestępczością oraz przeciwdziałanie oszustwom finansowym i telefonicznym to główne założenia ogólnopolskiego programu bezpieczeństwa osób starszych, którego inauguracja odbyła się w Katowicach. Szkolenia i warsztaty prowadzą praktycy, w tym notariusze, rzecznicy praw konsumentów oraz funkcjonariusze policji.

”

Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem, a na seniorów czyha wiele zagrożeń, szczególnie w sieci

Sławomir Pałka, wiceminister sprawiedliwości

Premier: Przyszłość możemy zbudować tylko na prawdzie

Karolina Wrońska
Gdańsk

- Ukraina, i słusznie, chce być częścią zjednoczonej Europy. Zawsze warunkiem prawdziwego zjednoczenia było rozumienie własnej historii i autentyczna zdolność do pojednania - mówił premier Donald Tusk, otwierając w Gdańsku Konferencję na rzecz Odbudowy Ukrainy.

W konferencji uczestniczy m.in. premier Ukrainy Julia Swyrydenko.

Szef rządu podkreślił, że „przyszłość możemy zbudować tylko na prawdzie”. - Pamiętajcie wszyscy bez wyjątku, moi rodacy w Polsce, twój, Julio, rodacy w Ukrainie, i nasi przyjaciele w Europie, że przyszłość możemy zbudować tylko na prawdzie, na wzajemnym szacunku, na rozumieniu historii - powiedział Tusk.

Jak dodał premier, „solidarność, która narodziła się w Gdańsku, może być naszą rzeczywistością, jeśli otworzymy swoje serca i umysły na przeszłość, ale przede wszystkim na przyszłość”.

Wezwał też wszystkich do pomocy „w tym wielkim dziele, aby ludzie dobrej woli w Ukrainie, w Polsce, w Europie i na świecie znowu odnaleźli się w tych trudnych czasach, znowu byli razem”. Premier podkreślił, że odbudowa „to nie tylko budynki, elektrownie, to



Premier Donald Tusk i przewodnicząca delegacji ukraińskiej - premier Julia Swyrydenko

nie tylko szkoły, nie tylko infrastruktura”.

- Odbudowa to także to, co w nas. Ukraina, i słusznie, chce być częścią zjednoczonej Europy. Zawsze warunkiem prawdziwego, pełnego zjednoczenia było rozumienie własnej historii i autentyczna zdolność i gotowość do pojednania - mówił premier.

Tusk podkreślił również, że wszyscy obecni na konferencji, wszyscy w Polsce, Ukrainie i Europie, wierzą w to, że Ukraina oprze się rosyjskiej agresji i że plany odbudowy Ukrainy to nie miraż.

Swyrydenko: Dziękuję Polakom za pomoc

Premier Ukrainy powiedziała, że jest bardzo wdzięczna wszystkim popierającym Ukrainę i okazującym jej solidarność. - Przede wszystkim, stojąc tutaj, chciałam podziękować polskiemu narodowi. Drodzy Polacy, bardzo dziękuję za waszą pomoc, którą okazaliście wówczas, kiedy była ona najbardziej potrzebna - powiedziała Julia Swyrydenko.

Podziękowała również za „chęć budowania wspólnej przyszłości w ramach Unii Europejskiej”.

Międzynarodowa pomoc dla Ukrainy

Głównym tematem odbywającej się w Gdańsku dwudniowej Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy (Ukraine Recovery Conference - URC 2026) będzie międzynarodowa pomoc gospodarcza i obronna dla Kijowa.

- W ciągu kolejnych dwóch dni tej konferencji my oczekujemy podpisania ponad 160 umów wartych 100 milionów euro - oświadczyła premier Ukrainy podczas inauguracji wydarzenia. Wskazała, że będą one miały wpływ na wiele wymiarów: rozwoju regionalnego, biznesowego, a także obronnego.

Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła, że do Ukrainy trafi tego dnia pierwsza płatność na kwotę 3,2 mld euro z unijnej pożyczki opiewającej na 90 mld euro. - W najbliższych dniach rozpocznie się też wypłata środków z puli 6 miliardów euro na produkcję dronów - dodała.

Chodzi o pożyczkę na rzecz Ukrainy, której zaciągnięcie przez UE było możliwe po wycofaniu przez Węgry weta. Wypłacone w czwartek przez KE 3,2 mld euro trafią do Kijowa na wsparcie budżetowe, a 6 mld euro Ukraina będzie mogła wydać na drony. 90 mld euro trafi na Ukrainę w transzach w latach 2026-2027. PAP

Prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie podrobienia kart zgonu w Szpitalu Południowym

Karolina Wrońska
Warszawa

Śledztwo w sprawie podrobienia w prosektorium Warszawskiego Szpitala Południowego kart zgonu 20 osób prowadzi Prokuratura Rejonowa Warszawa-Ursynów.

- Nowe śledztwo dotyczące nieprawidłowości w warszawskim Szpitalu Południowym dotyczy okresu od 22 sierpnia 2025 roku do 9 września 2025 roku - prze-

kazał rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie prok. Piotr Antoni Skiba. Wyjaśnił, że chodzi o wypełnienie kart 20 osób, naniesienie na nich pieczęci kordynatora prosektorium i ich podpisanie przez osobę do tego nieuprawnioną.

- Postępowanie zainicjowane zostało zawiadomieniem osoby, której podpis widnieje na dokumentach i której pieczęćka zaginęła - podał prokurator.

Skiba wskazał, że z treści zawiadomienia wynika, iż osoba

ta w okresie objętym śledztwem przebywała na urlopie wypoczynkowym i w tym czasie inna osoba, używając pieczętki zawiadamiającego, podrobiła m.in. podpisy na kartach zgonów pacjentów, którzy zmarli w tym czasie w Szpitalu Południowym.

- O możliwości zaistnienia takiej sytuacji zawiadamiający zdał sobie sprawę, gdy w czasie urlopu otrzymał telefon z urzędu stanu cywilnego, że nie uzupełnił jednej z kart zgonu,

której z uwagi na przebywanie na urlopie nie mógł sam wystąpić - poinformował Skiba.

Podkreślił, że na obecnym etapie postępowania weryfikacja przedmiotu tego śledztwa nie daje podstaw, by twierdzić, iż istnieje łączność podmiotowa i przedmiotowa z dwoma śledztwami wszczętymi kilka dni temu w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie w zakresie nieprawidłowości na SOR-ze Szpitala Południowego. PAP

Rekin zaatakował 12-latkę. Chłopiec pływał w oceanie razem z bratem

Adam Kielar
Nassau

12-letni chłopiec został zaatakowany przez rekina u wybrzeży Bahamów na Oceanie Atlantyckim. Nastolatek przebywał z rodziną na wycieczce po Exuma Cays, kiedy doszło do dramatycznego incydentu.

Królewska Policja Bahamów (RBPF) nie podała szczegółów dotyczących obrażeń, jakie odniósł chłopiec, ale poinformowała, że został przetransportowany łodzią na wyspę New Providence.

Jest to najbardziej zaludniona wyspa na Bahamach, gdzie znajduje się stolica kraju, Nassau. Tam chłopiec otrzymał pomoc medyczną. Jego stan jest stabilny.



Rekin zaatakował 12-latkę na Bahamach. Nie podano, jakie obrażenia odniósł, ale jego stan jest stabilny

Exuma Cays to popularne miejsce do pływania, nurkowania z rurką i akwalungiem. Wody wokół Staniel Cay są pełne raf koralowych i wraków statków, a także stanowią dom dla różnorodnych gatunków dzikiej przyrody, w tym żółwi morskich, płaszczek i rekinów. Królewska Policja Bahamów nie określiła, jaki gatunek rekina zaatakował chłopca.

Bahamy, składające się z ponad 700 wysp, mają jeden z najwyższych na świecie wskaźników nieprovokowanych ataków rekinów. Choć kraj ten jest niewielki, to zajmuje dziewiąte miejsce pod względem liczby takich ataków według Międzynarodowego Rejestru Ataków Rekinów - bazy danych śledzącej spotkania ludzi z rekinami na całym świecie.

Dwa silne trzęsienia ziemi. Ofiar mogą być tysiące

Adam Kielar
Caracas

Dwa potężne trzęsienia ziemi nawiedziły Wenezuelę, powodując poważne zniszczenia, zwłaszcza w stolicy kraju - Caracas. Władze ogłosiły stan wyjątkowy, a eksperci ostrzegają, że liczba ofiar może być ogromna.

Trzęsienia ziemi, które wstrząsnęły Wenezuelą, spowodowały znaczne zniszczenia w wielu miastach, w tym w stolicy, Caracas. Władze ogłosiły stan wyjątkowy, a pełniąc obowiązki prezydenta Delcy Rodríguez przekazała kondolencje rodzinom ofiar. Podała, że do tej pory potwierdzono 32 ofiary śmiertelne i ponad 700 rannych, ale bilans ten na pewno wzrośnie.

Rzecznik polskiego MSZ Maciej Wewiór przekazał w czwartek, że „w Wenezueli obecność naszych obywateli to pojedyncze przypadki”. - Nie mamy żadnego sygnału, aby którykolwiek z nich ucierpiał - poinformował. Dotyczy to także polskich dyplomatów.

Szkoły w Wenezueli pozostaną zamknięte, a inne aktywności zawieszono, z wyjątkiem podstawowych usług. Wszystkie loty na lotnisku w Caracas zostały odwołane, co dodatkowo utrudnia sytuację.

Według amerykańskiej służby geologicznej USGS pierwsze trzęsienie miało magnitudę 7,2,



Wiele osób zostało rannych w wyniku dwóch silnych trzęsień ziemi, które w środę wieczorem nawiedziły Wenezuelę. Władze ogłosiły stan wyjątkowy

a kolejne 7,5. Eksperci ostrzegają, że „prawdopodobna jest wysoka liczba ofiar i duże zniszczenia”. Według USGS mogły zginąć dziesiątki tysięcy, a nawet ponad 100 tysięcy osób.

- Są budynki, domy, które się zawaliły, i zajmujemy się tym, używając wszystkiego, co dostępne, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, pomoc obywatelską. Straż pożarna, policja, wszystko zostało uruchomione - powiedział szef wenezuelskiego MSW Diosdado Cabello.

Burmistrz stołecznej dzielnicy Chacao Gustavo Duque powiedział kanałowi Globovision, że w dzielnicy zawaliły się dwa budynki, a 16 osób zostało rannych. Dodał, że są również

ofiary śmiertelne, ale nie podał ich liczby.

W chwili trzęsienia wielu Wenezuelczyków przebywało w domach, ponieważ w środę przypadła święta narodowa.

- Gdy się zaczęło, usłyszeliśmy krzyczących ludzi. Wszyscy zbiegali po schodach - powiedziała cytowana przez Reutera publicystka Astrid Ramirez.

USA gotowe pomóc Wenezueli

Amerykański sekretarz stanu Marco Rubio oświadczył w czwartek rano czasu polskiego, że Stany Zjednoczone natychmiast wyślą ratowników i środki medyczne do dotkniętej trzęsieniami ziemi Wenezueli.

Rubio w swoim wpisie na platformie X przekazał, że „z polecenia prezydenta Donalda Trumpa Departament Stanu niezwłocznie wyśle do Wenezueli ekipy poszukiwawcze i ratownicze, środki medyczne i pomoc humanitarną.

W nocy ze środę na czwartek prezydent Trump oświadczył na platformie Truth Social, że Stany Zjednoczone są gotowe pomóc Wenezueli po trzęsieniach ziemi, które przyniosły „druzgocącą liczbę” ofiar śmiertelnych. Niezwłoczne wysłanie ratowników i pomocy zapowiadał również podsekretarz stanu USA do spraw pomocy humanitarnej Jeremy Lewin. PAP

Ruch w cieśninie Ormuz tylko wyznaczoną trasą

Anna Nagel
Teheran

Irański Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) oświadczył, że statki mają przepływać przez cieśninę Ormuz wyłącznie szlakami wyznaczonymi przez władze Iranu.

„Bez wcześniejszego powiadomienia i uzgodnień z Islamską Republiką Iranu niektóre władze ogłosiły nową trasę ruchu statków przez cieśninę Ormuz, co jest niedopuszczalne i całkowicie niebezpieczne” - stwierdził IRGC w oświadczeniu opublikowanym w oficjalnych mediach.

„Niniejszym ogłaszamy wszystkim, że jedyną dozwoloną trasą przez cieśninę Ormuz są tory wodne wyznaczone przez Islamską Republikę

Iranu. Żegluga poza tymi trasami jest wysoce niebezpieczna i zabroniona. Ostrzegamy wszystkie statki, aby bezwzględnie unikały przemieszczania się poza wyznaczonymi korytarzami” - dodano w oświadczeniu.

„IRGC uprzedził, że podjęcie działania wobec jednostek, które nie podporządkują się tym instrukcjom” - podkreślił emigracyjny portal Iran International.

Poprzedniego dnia Międzynarodowa Organizacja Morska (IMO) rozpoczęła ewakuację 11 tysięcy marynarzy odciętych w cieśninie Ormuz. Agencja Reutersa informowała, że statki będą mogły korzystać z dwóch tras: północnej przez wody irańskie i południowej przez „wody koordynowane przez Sułtana Omanu i Stany Zjednoczone”. PAP

Tragiczne skutki fali ekstremalnych upałów we Włoszech. Zmarły już cztery osoby

Adam Kielar
Rzym

Cztery osoby zmarły we Włoszech z powodu ekstremalnych upałów. Temperatury w centrum i na północy kraju sięgają 37-39 stopni Celsjusza.

Wśród ofiar ekstremalnych upałów znalazło się dwóch rolników. Pierwszy z nich to 61-letni mężczyzna, który pracował w winnicy koło Piacenzy w regionie Emilia-Romania. Druga ofiara to 58-latek z okolic miasta Lodi w Lombardii. Obaj mężczyźni zmarli w wyniku wyczerpania organizmu spowodowanego wysokimi temperaturami.

Kolejną ofiarą jest 56-letni mężczyzna, który zasnął na cmentarzu w miejscowości Garlasco koło Pawii. Niestety,



Wysokie upały stanowią zagrożenie dla zdrowia

mimo udzielonej pomocy nie udało się go uratować. W Neapolu zmarł 57-letni bezdomny, który przebywał na jednym z placów w centrum

miasta. W jego przypadku również podejrzewa się, że przyczyną zgonu były upały.

Włoskie ministerstwo zdrowia zareagowało na falę upałów, wprowadzając czerwony, najwyższy stopień alarmu w 16 miastach. Wśród nich znajdują się Rzym, Mediolan, Florencja, Wenecja i Turyn. Czerwony stopień alarmu oznacza zagrożenie dla zdrowia całej populacji, a liczba miast objętych alertem ma rosnąć w kolejnych dniach.

Ponad 40 stopni Celsjusza we Włoszech

Prognozy wskazują, że temperatury mogą przekroczyć 40 stopni Celsjusza, co stanowi poważne wyzwanie dla mieszkańców i służb ratunkowych. Władze apelują o ostrożność i unikanie prze-

bywania na słońcu w najgorętszych godzinach dnia.

Ekstremalne upały mają poważne konsekwencje dla zdrowia ludzi, zwłaszcza osób starszych, dzieci oraz osób z chorobami przewlekłymi. Wysokie temperatury mogą prowadzić do odwodnienia, udarów cieplnych oraz innych poważnych problemów zdrowotnych. Władze apelują o zachowanie ostrożności i dbanie o regularne nawadnianie organizmu.

W obliczu rosnących temperatur mieszkańcy Włoch muszą dostosować do nich swoje codzienne nawyki, aby minimalizować ryzyko związane z upałami. Ważne jest, aby unikać wysiłku fizycznego na zewnątrz, nosić lekkie i przewiewne ubrania oraz regularnie pić wodę. PAP

tygodnik Regionów

Piątek, 26.06.2026

KOSZALIN

Ze szkolnego strychu na wielki ekran. Unikatowy film z lat 60. został pokazany w kinie w czasie jubileuszu koszalińskiego „ekonoma”. **str. 12**

SZCZECIN

70 lat później. Poznański Czerwiec '56 oczami 11-letniego szczecinianina. - Po dwóch, trzech godzinach zginął młody chłopak - wspomina **str. 13**



FOT. MUZEUM W KOSZALINIE

Dawne miasto zatrzymane na slajdach. Niezwyczajny dar dla Muzeum w Koszalinie

Dar ten pomoże zanurzyć się w miasto z końca lat 50., 60., i 70. ubiegłego wieku. To ponad dwa tysiące slajdów ukazujących przeróżne fragmenty Koszalina. **str. 10-11**

Redakcja
Region

Rozpoczynamy cykl publikacji, które raz w miesiącu będą się pojawiać na naszych łamach. Będą one powstawać we współpracy z Muzeum w Koszalinie, bazując na wiedzy pracowników koszalińskiej placówki i zbiorach, które znajdują się pod opieką koszalińskich muzealników. Poruszane tematy będą dotyczyły zarówno Koszalina, jak i regionu. Zapraszamy do lektury!

Dawne miasto zatrzymane na slajdach. Niezwykły dar dla Muzeum w Koszalinie

Jak wyglądał Koszalin niemal 70 lat temu? Odpowiedź na to pytanie ciągle pozostaje niepełna, ponieważ ten okres w zasobach Muzeum w Koszalinie jest niewystarczająco dobrze udokumentowany. W tamtych czasach przecież mało kto miał dostęp do aparatu fotograficznego, a każda klatka kliszy była na wagę złota. Jednak dar, który trafił właśnie do muzeum, pomoże nam zanurzyć się w miasto z końca lat 50., 60., i 70. ubiegłego wieku. To ponad dwa tysiące slajdów ukazujących różne części miasta.

Slajdy do Muzeum w Koszalinie, zapakowane w dwa wielkie kartony w bagażniku własnego auta, przywiózł Thomas Kohs, członek zarządu Heimatkreis Köslin - stowarzyszenia z miasta Minden zrzeszającego potomków mieszkańców niemieckiego Koszalina, którzy tuż po wojnie w 1945 roku zostali wysiedleni z tych terenów.

- Jako przedstawiciel byłych Koszalinian postarałem się o te zdjęcia i przywiozłem je tutaj. Tych slajdów jest kilka tysięcy. Są różnej jakości oczywiście, bo to są zdjęcia amatorskie, ale myślę, że muzeum będzie bardzo zadowolone z tego daru i na pewno zostaną wykorzystane - wyjaśniał wyraźnie wzruszony Thomas Kohs tuż po tym, jak wraz z Krzysztofem Jedynakiem, kierownikiem Działu Historycznego, wniósł kartony pełne slajdów do biura Joanny Chojeckiej, dyrektor Muzeum w Koszalinie.

Kiedy tylko wylądowały na stole, muzealnicy natychmiast zaczęli otwierać pomarańczowe pudełka z charakterystycznym czerwonym logotypem marki Kodak skrywające plastikowe karuzele ze slajdami. Od razu też zaczęli wyciągać losowe okienka i wyraźnie podekscytowani przeglądali slajdy pod światło. Zobaczyli na nich kadry Koszalina sprzed niemal 70 lat: brukowane ulice, po których spacerują nasi dziadkowie, budynki, których już nie ma.

- Można śmiało powiedzieć, że przyszedł do nas prawdziwy święty Mikołaj. Mam tu na myśli wszystkich Koszalinian i wszystkich tych, dla których historia miasta i naszego re-



Koszalin, centrum miasta, przy dzisiejszej ulicy Zwycięstwa. Rok 1957

gionu jest skarbem - przyznała poruszona Joanna Chojecka.

Jak powstały te zdjęcia? To pytanie od razu pojawiło się w głowach muzealników. - Wyszli z Koszalina niemieccy mieszkańcy od około 1958 roku, zaczęli tu przyjeżdżać i fotografować miasto i miejsca, które musieli opuścić - wyjaśnił Thomas Kohs. - Ci ludzie nie stety już nie żyją, ale pozostał po nich duży spadek, właśnie w postaci tych zdjęć, który w imieniu ich rodzin przywiozłem tutaj do Koszalina.

Krzysztof Jedynak od razu zwrócił uwagę na fakt, że Niemcy fotografowali nie tylko główne ulice, ale zaglądali także do bram, na zaplecza i podwórka kamienic. - Zapewne chcieli jak najlepiej i najpewniej uwiecznić miejsca, w których

mieszkali, żeby potem pokazać to swoim bliskim w Niemczech - przypuszcza kierownik Działu Historycznego, do którego trafił ten wyjątkowy dar.

Czeka go teraz długa i mozolna praca, bo - choć slajdy były przechowywane w opakowaniach - trzeba je teraz poddać odpowiednim procesom. - Każdą klatkę trzeba najpierw wyjąć z okienka, a następnie odkurzyć, a czasem i poddać odpowiedniej kąpieli, żeby można je było zeskanować w możliwie najlepszej jakości. Każdy kurz, paproszek, który zostanie na kliszy może bowiem wpłynąć negatywnie na uzyskany obraz - wyjaśnia Krzysztof Jedynak, który ma już doświadczenie w archiwizacji i digitalizacji zbiorów, bowiem już w 2012 roku zajmował się digitalizacją



Joanna Chojecka, dyrektor Muzeum w Koszalinie, Krzysztof Jedynak, kierownik Działu Historycznego (z prawej) oraz Thomas Kohs, członek zarządu Heimatkreis Köslin prezentują wyjątkowe slajdy.

kilkuset przedmiotów i ekspozycji z wszystkich muzealnych działów.

Dlatego też na szczegółowe informacje, co dokładnie znajduje się na podarowanych slajdach, trzeba będzie jeszcze poczekać. Jednak już z pierwszych oględzin wynika, że dzięki temu darowi będziemy mogli dowiedzieć się, jak np. wyglądał Koszalin 15 lat po wojnie.

- Wśród slajdów mamy na przykład kadry przedstawiające ulicę 1 Maja. Na jednym - z 1958 roku - wygląda zupełnie inaczej niż współcześnie. Możemy rozpoznać jedynie dwa budynki, które przetrwały do dziś. Pozostałe musiały zostać rozebrane. Na jednym ze zdjęć z tego samego okresu widać jednak, że już powstaje nowy budynek - opowiada Krzysztof Jedynak i wskazuje kolejne zdjęcie: - A to zostało zrobione około 10 lat później, już widać, że przy ulicy stoją nowe budynki.

Przeglądając kolejne, zwraca uwagę na inny szczegół. - O, na tym zdjęciu widzimy plac Gwiazdzysty w 1966 roku. Kształty kamienic i bram możemy bez problemu rozpoznać, ale plac, na którym obecnie jest parking i postój taksówek wygląda zupełnie inaczej. W 1966 roku cały był brukowany i nie miał wysepki na środku - zauważa.

Szczególną uwagę kierownika Działu Historycznego

zwrócił jednak pakiet około 200 zdjęć towarzystwa gimnastycznego Turnverein Köslin, którego początki sięgają 1861 roku. Duża część tych konkretnych slajdów, które znalazły się w kartonach przywiezionych przez Thomasa Kohsa pochodzą jeszcze z czasów przedwojennych. - Grupę sportowców widzimy na treningach na terenie obecnego stadionu Bałtyku, na Górze Chełmskiej, a także podczas pokazów i zawodów gimnastycznych na rynku - wymienia historyk. Z jego punktu widzenia istotniejszy od samych zmagani sportowców jest jednak drugi plan, czyli miejsca, które przy okazji zmagani sportowych zostały sfotografowane.

Krzysztof Jedynak wraz z Joanną Chojecką nie mają więc wątpliwości, że dar od Heimatkreis Köslin z Minden ukaże oczom mieszkańców Koszalina miasto sprzed kilkudziesięciu lat i w wyjątkowy sposób wzbogaci wiedzę o nim.

- Zdradzę tylko, że już po zdigitalizowaniu tych materiałów planujemy udostępnienie ich na wystawie, a także już myślimy o publikacji. Mam nadzieję, że uda nam się podzielić tym z mieszkańcami już w przyszłym roku, kiedy to Muzeum w Koszalinie będzie obchodzić jubileusz 80-lecia istnienia - mówi dyrektor muzeum i jednocześnie przypomina:



Ulica Młyńska, w tle siedziba Muzeum w Koszalinie. Rok 1958.

- Współpraca z Thomasem Kohsem i stowarzyszeniem z Minden trwa już wiele lat i ma tak fantastyczne owoce. To właśnie dzięki niemu i Christiane Djalvand, którzy są w zarządzie Heimatkreis Köslin, nasze muzeum otrzymało w ramach darów już dwukrotnie fantastyczne obiekty, artefakty związane z kulturą i dziedzictwem Pomorza. Cieszymy się, że ta współpraca tak się rozwija, a to wszystko po to, żebyśmy mogli się tym z Państwem dzielić.

Warto tu przypomnieć, że właśnie w wakacje zeszłego roku dzięki działaniom Thomasa Kohsa Dział Etnografii wzbogacił się o kilkadziesiąt przedmiotów codziennego użytku, przede wszystkim odzieży z początków XX wieku, które ówczesni mieszkańcy Koszalina i okolic zabrali ze sobą podczas przymusowych wysiedleń po zakończeniu II wojny światowej. Z kolei we wrześniu mieszkanka Koszalina Ewa Mazurek przekazała muzeum ro-

dzinne zdjęcia, dokumenty, dewocjonalia i wiele innych cennych przedmiotów. Dary te wzbogaciły Dział Historyczny, a dokładnie kolekcję dotyczącą historii ziemi koszalińskiej po 1945 roku. Zaledwie kilkanaście dni później koszaliński kolekcjoner Zbigniew Wojtkiewicz przekazał - także do Działu Historycznego - przedwojenne wzorniki do pocztówek koszalińskich, dokumentację papierni koszalińskiej oraz pamiątkowe ujęcia aktorki Hen-

rietty Hendel-Schütz. To była zresztą nie pierwsza jego darowizna. W oparciu o artefakty przekazane przez Zbigniewa Wojtkiewicza powstała specjalna gablota, w której były eksponowane.

- Takie dary we wspólny sposób uzupełniają nasze ekspozycje i poszerzają wiedzę na temat historii XX-wiecznego Koszalina. Bardzo doceniamy taką postawę i wrażliwość na dziedzictwo kulturowe, historyczne - podkreślała wielokrotnie Joanna Chojecka, dyrektor muzeum. - Jednocześnie apelujemy do mieszkańców Koszalina i regionu: jeśli posiadacie Państwo w swoich domach historyczne i artystyczne artefakty - czy to elementy stroju i ubiory, obiekty sztuki i rzemiosła, przedmioty codziennego użytku, filmy, zdjęcia i dokumenty, to warto skontaktować się z nami i przekazać je do naszego muzeum (tel. 94 343 20 11, mail: sekretariat@muzeum.koszalin.pl). Każdy taki artefakt to kawałek historii nie tylko miasta i regionu, ale i mieszkańców. My nie tylko opiekujemy się nimi, zabezpieczymy, ale i w odpowiedni sposób wyeksponujemy na naszych wystawach, aby opowieść i Koszalinie była możliwie najpełniejsza i nieustannie fascynująca.

Mariusz Rodziewicz
rodziewicz@muzeum.koszalin.pl

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

Fundacja ORLEN stawia na młodych. 18 polskich studentów rusza po wiedzę na najlepsze uczelnie świata

18 najzdolniejszych studentek i studentów z Polski rozpocznie naukę na jednych z najbardziej prestiżowych uczelni świata dzięki wsparciu Fundacji ORLEN. Laureaci IX edycji programu Bona Fide trafią m.in. na Harvard University, University of Oxford, University of Cambridge i Massachusetts Institute of Technology. Fundacja przeznaczy na czesne ponad 3 mln zł, a każdy stypendysta mógł ubiegać się nawet o 200 tys. zł.

Miliony na edukację młodych Polaków w światowej lidze
Fundacja ORLEN ogłosiła laureatów dziewiątej edycji programu Bona Fide, jednego z najbardziej prestiżowych programów stypendialnych wspierających zagraniczną edukację polskich studentów. W najbliższym roku akademickim 18 młodych osób rozpocznie studia na uczelniach, które od lat wyznaczają kierunki w nauce, technologii, ekonomii, prawie i zarządzaniu.

Na liście kierunków wybranych przez tegorocznych stypendystów znalazły się m.in. finanse, ekonomia,



prawo międzynarodowe, zarządzanie publiczne, data science, inżynieria komputerowa oraz biotechnologia. Są to obszary, które bezpośrednio odpowiadają na wyzwania współczesnej gospodarki.

Fundacja ORLEN przeznaczy na pokrycie czesnego ponad 3 mln zł. Każdy z laureatów mógł ubiegać się o wsparcie w wysokości do 200 tys. zł.

Nagradzane były nie tylko świetne oceny

O wyborze laureatów nie decydowały wyłącznie wyniki w nauce. Komisją programu Bona Fide, złożoną z przed-

stawicieli ORLEN i Fundacji ORLEN, szukała osób, które łączą bardzo dobre osiągnięcia akademickie z aktywnością społeczną, doświadczeniem projektowym i konkretną wizją własnego rozwoju.

Współczesne uczenie z globalnej czołówki nie kształcą już tylko specjalistów zamkniętych w jednej dziedzinie. Coraz większe znaczenie ma umiejętność pracy interdyscyplinarnej, rozumienie skutków społecznych nowych technologii, kompetencje przywódce oraz zdolność przekładania wiedzy na realne rozwiązania.

- Bona Fide daje młodym ludziom możliwość zdobywania wiedzy i doświadczeń w najbardziej renomowanych ośrodkach akademickich na świecie. Podczas tegorocznych rozmów rekrutacyjnych szczególnie zapadli nam w pamięć kandydaci, którzy z dużą dojrzałością opowiadali o swoich planach badawczych i z pasją mówili o projektach społecznych, które już realizują. To właśnie ta ciekawość świata i gotowość działania wyróżniają ich już dziś, a w przyszłości mogą stać się impulsem do tworzenia rozwiązań, które będą odpowiadać na najważ-

niejsze wyzwania społeczne, gospodarcze i technologiczne - mówi Joanna Barbrich, kierowniczka obszaru programowego Fundacji ORLEN.

Warunkiem jest powrót do Polski

Program Bona Fide został pomyślany jako inwestycja w kompetencje, które mają wrócić do kraju. Uczestnicy zobowiązują się do powrotu do Polski po zakończeniu studiów i wykorzystania zdobytej wiedzy w instytucjach społecznych, organizacjach społecznych, sektorze prywatnym, a także w Grupie ORLEN.

Efekty programu są już widoczne. Obecnie w samym ORLENIE pracuje siedmioro studentów z poprzednich edycji Bona Fide. Jedną z nich jest Maja Białaszek, stypendystka 7. edycji programu, absolwentka prawa własności intelektualnej na University of Edinburgh, obecnie specjalistka w dziale strategicznych analiz bezpieczeństwa ORLEN.

- Udział w programie Bona Fide otworzył przede mną możliwości, których trudno byłoby doświadczyć w inny sposób. Studia za granicą pozwoliły mi zdobyć wiedzę i spojrzenie na wiele zagadnień z międzynarodowej perspektywy. Dziś mogę wykorzystywać te doświad-

0011543127
czenia w pracy zawodowej i kolejnych projektach - podkreśla Maja Białaszek.

Sieć kontaktów, mentoring i nowe wsparcie

W programie coraz większe znaczenie ma społeczność absolwentów. Pomagają kandydatom, dzielą się doświadczeniem związanym z rekrutacją, finansowaniem edukacji i funkcjonowaniem w międzynarodowym środowisku akademickim. W minionym roku pełnili także rolę mentorów dla osób ubiegających się o stypendium.

Fundacja rozwija również format spotkań „Bona Fide After Hours”, które mają wzmacniać relacje między uczestnikami programu i tworzyć przestrzeń do wymiany wiedzy. W przypadku edukacji na światowym poziomie kapitał społeczny bywa równie ważny jak sam dyplom.

Dziewiąta edycja programu została dodatkowo rozszerzona. Stypendyści mogą ubiegać się o dofinansowanie części kosztów związanych z rozpoczęciem nauki z granicą, takich jak przeprowadzka czy podróże. Regulamin przewiduje też dodatkowe punkty dla osób kontynuujących edukację na kolejnych etapach studiów.

W ciągu ostatniego dotychczasowych edycji Bona Fide wsparł blisko 100 studentów.

Ze szkolnego strychu na wielki ekran. Unikatowy film z lat 60. pokazany w kinie

Łukasz Gładysiak
Koszalin

Na odkrycie czekały ponad pół wieku. W związku z obchodami 80-lecia, koszaliński Ekonom i Archiwum Państwowe zaprezentowali unikatowe nagrania z połowy lat sześćdziesiątych.

- To jeden z nielicznych, pozytywnych efektów pandemii. Nie przypuszczaliśmy, że przypadkowe znalezisko okaże się ważne nie tylko dla historii naszej szkoły, ale i całego Koszalina - mówi Szymon Konefał, dyrektor Zespołu Szkół Nr 1 im. Mikołaja Kopernika. Podczas realizowanego w czasie, gdy nie można było prowadzić standardowych lekcji, remontu dachu popularnego Ekonoma, na strychu odnaleziono zostały szpule z nagraniami filmowymi. Gdy uruchomiono projektor okazało się, że to ponad 90-minutowy zapis zdarzeń z życia szkoły i miasta w 1966 r.



Członkowie koła zainteresowań w akcji. - Nie przypuszczałem, że nasze filmy staną się kiedyś cennym źródłem historycznym - mówi Janusz Bartkiewicz (na zdjęciu z kamerą)

Autorami okazali się ówczesni uczniowie skupieni wokół nauczyciela fizyki, prof. Jerzego Ignaciuka. - To właśnie on zaszczepił w nas zainteresowanie

najpierw fotografią, a następnie filmem. Nie przypuszczaliśmy, że przygotowany przez nas materiał, zdecydowanie amatorski, stanie się kiedyś cennym źród-

łem historycznym - opowiada Janusz Bartkiewicz, który szkołę kończył dokładnie 60 lat temu. To właśnie on, z grupą kolegów, jest autorem filmów, w kilku kadrach, uchwyconych między innymi podczas egzaminu dojrzałości, także się pojawia. - Całość zarejestrowaliśmy kamerą zakupioną przez szkołę w 1965 r. i wyprodukowaną w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Pamiętam, że posiadała trzy, umieszczone rewolwerowo obiektywy oraz napęd w rękojeści. Początkowo nagrywaliśmy na taśmach czarno-białych, później także kolorowych Agfy albo Orwo. By otrzymać film możliwy do projekcji, surówkę trzeba było wysłać do laboratorium fotochemicznego w Bydgoszcy. Nigdy nie udało się nam rozwiązać kwestii udźwiękowienia. Kamera nie posiadała wbudowanego mikrofonu,

w szkole takiego sprzętu do nagrania audio także nam brakowało - uzupełnia nasz rozmówca.

Choć nieme, filmy mają wielką wartość historyczną. Oprócz dokumentacji uczniowskiego i nauczycielskiego dnia codziennego, na filmach uwieczniono na przykład nieistniejące dzisiaj elementy infrastruktury, choćby przestrzeń, którą na początku lat siedemdziesiątych zajęła duża sala gimnastyczna, czy łącznik do sali małej. Poza tym szkolni filmowcy ruszyli w plener, przenosząc na taśmę słynną w całym mieście, barwną „żakinadę”, zawody sportowej na stadionie „Bałtyku”, czy paradę z okazji przypadającego w 1966 r. 700-lecia Koszalina. Dzięki temu, że kamera towarzyszyła uczniom podczas szkolnej wycieczki do Mostowa, możemy dziś obejrzeć jak prezentowała się wówczas ta miejscowość i droga wychodząca z Koszalina na południe, czyli popularna „stara jedenastka”.

Nie mniej ciekawa, jak sam materiał okazuje się historia zlokalizowania jego twórców oraz jego dalsze przetworzenie. - Początkowo zaczęliśmy szukać osób uwiecznionych na kadrach, nie wiedząc jeszcze wtedy, który rocznik reprezentują. Korzystając z rozległych kontaktów Ekonoma oraz wiedzy emerytowanych nauczycieli, udało się nie tylko określić czas, ale i autorów nagrań. Szczęśliwie część z nich nadal jest mieszkańcami Koszalina - zaznacza dyrektor Konefał. Nagrania po raz pierwszy ujrzaly światło dzienne za sprawą, zmarłego w 2022 r. nauczyciela historii, Macieja Żytkiewicza.

Przy okazji obchodów 75-lecia Zespołu Szkół Nr 1, dawni filmowcy obejrzeli swoje dzieło i opatrzyli je wstępny komentarzem.

- Po pięciu latach, szykując się do kolejnego jubileuszu, czyli przypadającej w roku szkolnym 2025/2026 r., 80. rocznicy powstania Gimnazjum Kupieckiego - protoplasty Ekonoma, z wielką pomocą przyszło nam Archiwum Państwowe w Koszalinie. To właśnie dzięki zaangażowaniu pracowników i dyrektor tej placówki, Katarzyny Królczyk, taśmy zostały zdigitalizowane. Z kolei za sprawą koszalińskiego filmowca, Marcina Goliaka, w oparciu o nie powstał 20-minutowy film jubileuszowy - wylicza nasz rozmówca. Premiera filmu na wielkim ekranie miała miejsce w Miejskiej Bibliotece Publicznej, podczas finałowego tygodnia jubileuszu, 17 czerwca. - Niezwykle miłym akcentem okazała się obecność w czasie projekcji członków koła zainteresowań z lat 60-tych oraz pani Krystyny Łojek. W roku szkolnym 1965/1966 była gospodarzem klasy, z której wywodzili się filmowcy. By być z nami tego dnia, przyjechała aż z Nowego Sącza - kończy Szymon Konefał.

Choć obchody jubileuszowe w Zespole Szkół Nr 1 oficjalnie dobiegły końca, dyrekcja i kadra zastrzegają, że kwestią filmów sprzed 60 lat zajmować się będą dalej. W przyszłości powstać ma pełnowymiarowy, oparty o odnalezione taśmy reportaż. Póki co, wyżej wymienione nagranie obejrzeć można w mediach społecznościowych szkoły oraz Archiwum Państwowego w Koszalinie. Oryginały rzecz jasna zostały również odpowiednio zabezpieczone.

REKLAMA

0011529006

agencja nasienna

POSTĘP ODMIANOWY zależy od Ciebie

Cykl hodowlany nowej odmiany roślin rolniczych trwa nawet 10-12 lat i jest bardzo kosztowny.

Rzetelnie rozliczając się za odstępowo rolne, pomagasz hodowcom wyhodować innowacyjne odmiany.

To dzięki Tobie w kolejnych latach na polskie pola trafią pełne odmiany, dopasowane do warunków glebowo-klimatycznych.



CZYTAJ WIĘCEJ

www.agencjanasienna.pl



Klasa technikum o profilu ekonomka przemysłu, jedyna, w której w latach 1962-1966 byli chłopcy. Zdjęcie wykonane na terenie szkoły w styczniu 1965 roku

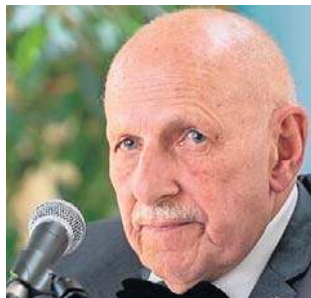
70 lat później. Poznański Czerwiec '56 oczami 11-letniego Szczecinianina

Mariusz Parkitny
Region

Rozmowa z mec. Włodzimierzem Łyczwykiem, szczecińskim adwokatem, świadkiem wydarzeń Czerwca '56 w Poznaniu

Panie Mecenasie, wygląda na to, że jest pan jedynym Szczecinianinem, który na własne oczy widział początek Poznańskiego Czerwca 1956 r. Jak do tego doszło?

Zacznę od tego, że 7 czerwca 1956 r. skończyłem 11 lat, a 28 czerwca byłem już w Poznaniu. To były takie czasy, zresztą i dzisiaj są, że coś z dziećmi trzeba zrobić po zakończeniu szkoły. Ja miałem dwie babcie w Poznaniu. Rodzice wysłali mnie pociągiem, a babcia odebrała mnie z dworca. Mieszkała przy ul. Dąbrowskiego 25A. To narożnik ulicy Kochanowskiego, gdzie mieścił się gmach Urzędu Bezpieczeństwa. 28 czerwca rano patrzę ze zdumieniem, a pod naszym domem idą tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi w strojach robo-



FOT. SEBASTIAN WOLOSZ

Mecenas Włodzimierz Łyczwyk

czych z zakładów Cegielskiego i innych. Spokojnie szli ulicą Dąbrowskiego. A potem nagle coś się wydarzyło. Przyjechały wozy pancerne, zaczęto rozganiać tych ludzi. Wtedy demonstranci zaczęli wbiegać w ulicę Kochanowskiego albo biec w stronę browaru po drugiej stronie. Wyciągali stamtąd puste butelki. Już było wiadomo, co będzie - koktajle Mołotowa, rzucanie nimi w czołgi. Ja to wszystko oglądałem, stojąc na ulicy. Ale kiedy przyjechały czołgi, babcia oczywiście zabrała mnie do domu. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze i z okien widziałem wszystko,

co działo się na ulicy. Z okien sąsiadki widziałem natomiast budynek UB, bo znajdował się bardzo blisko, około pięćdziesięciu metrów od naszego domu. Po dwóch, trzech godzinach, gdy zaczęły się zamieszki wywołane przez reakcję władz komunistycznych, zginął młody chłopak, Romek Strzałkowski, który był zaledwie dwa lata ode mnie starszy. W Poznaniu jest dziś ulica jego imienia. Wtedy babcia już trzymała mnie w domu, żebym nie wychodził na ulicę. Widziałem czołgi, wozy pancerne, oddziały wojska. Nie wiedziałem wtedy, że sytuacja jest aż tak poważna. Zginęło 58 osób. To była regularna strzelanina. Z gmachu UB strzelano do tłumu. Noc z 28 na 29 czerwca była niespokojna. Nawet w mieszkaniu sąsiadki znalazł się człowiek, który przyjechał z Gdańska na Międzynarodowe Targi Poznańskie i został ranny, bo kula odbiła się rykoszetem od kaflowego pieca i go trafiła. Na szczęście niegroźnie.

Tak więc byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń. A ponieważ jako 11-letni chłopak byłem wychowany na opowieściach rodziców o wojnie, wydawało mi się, że jest wojna. Rano babcia uznała za stosowne wyrwać mnie z tego kordonu, który obejmował gmach UB, ulicę Dąbrowskiego i wszystko dookoła, żebym nie przebywał w obrębie walk. Druga babcia mieszkała około 500 metrów dalej, ale już poza kordonem. I właśnie do niej szliśmy. I teraz anegdota. Kiedy byłem już senatorem, wice-marszałkiem Senatu był poznanianin, dużo młodszy ode mnie. Przy okazji obchodów 50-lecia Poznańskiego Czerwca mówił publicznie, że wojsk rosyjskich nie było w Poznaniu, że były tylko wojska polskie. Wtedy wstałem i powiedziałem: „Za młody jesteś, kochany, żebyś wiedzieć, bo wtedy jeszcze nie żyłeś, a ja te wydarzenia widziałem na własne oczy”. I teraz wracam do tego poranka 29 czerwca. Aby przejść na drugą stronę ulicy do drugiej babci, moja babcia zapytała sto-

jącego na ulicy porucznika Wojska Polskiego w polskim mundurze, czy możemy tędy przejść. Pamiętam, co odpowiedział. Dał pozwolenie, ale wypowiedział je po rosyjsku: „, , ”. Ja już wtedy uczyłem się rosyjskiego, więc do dziś zastanawiam się, czy nie było tam również Rosjan w polskich mundurach. Na drugi dzień słuchałem przemówienia Józefa Cyrankiewicza, który przybył do Poznania i mówił, że kto podniesie rękę na władzę ludową, temu władza tę rękę odrąbie. Taka była reakcja władz na protest robotników, którzy szli ulicami w robotycznych strojach. Na początku wszystko wyglądało niegroźnie, a jednak skończyło się tragicznie. Było to największe starcie społeczeństwa z władzą komunistyczną aż do czasów stanu wojennego.

Był pan świadkiem nie tylko wydarzeń z Czerwca '56 w Poznaniu.

Tak. Miałem to szczęście, że wszystkie najważniejsze wydarzenia polityczne i dramatyczne tamtych lat widziałem na własne oczy. W marcu 1968 r. dostałem pałką od milicjantów, bo protestowałem jako student. W grudniu 1970 r. pracowałem już w Szczecinie jako kierownik działu organizacyjno-prawnego. Kiedy dowiedziałem się,

że stoczniovcy idą na miasto, natychmiast wybiegłem i widziałem, jak wyrzucano wyposażenie z budynku ówczesnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, w którym dziś mieści się Sąd Rejonowy Szczecin-Prawobrzeże i Zachód. Widziałem też płonąca Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej przy ul. Małopolskiej, szczególnie kantinę na trzecim piętrze. Co ciekawe, płonął także wydział oświaty Urzędu Miejskiego. W 1980 r. byłem u Mariana Jurczyka w Stoczni Szczecińskiej jako przedstawiciel advokatury. Przywiozłem pieniądze zebrane przez adwokatów na rzecz „Solidarności” oraz kwiaty. W 1981 r. odbierałem właśnie puchary za sukcesy w rajdach samochodowych, gdy wprowadzono stan wojenny. O tym, że coś się stało, dowiedziałem się dopiero po powrocie do domu, kiedy moje córki powiedziały mi, że nie ma „Tele-ranka”. Faktem jest, że wydarzenia poznańskie zrobiły na 11-letnim chłopcu wychowanym na wojennych opowieściach ogromne wrażenie. Być może dlatego pamiętam je tak dobrze. Rzeczywiście wygląda na to, że mogę być jedynym szczecinianinem, który widział na własne oczy wydarzenia Poznańskiego Czerwca 1956 roku.

MATERIAŁ INFORMACYJNY DRUŻYNA ENERGII

0011537324

Eksplozja radości i gra fair play! Roztańczona Drużyna Energii po raz kolejny zainspirowała tysiące dzieci w całej Polsce do zabawy ruchem

Aż 527 szkół z całego kraju włączyło się do aktywnej zabawy w 9. edycji programu Drużyna Energii, którego mecenasem jest Energa z Grupy ORLEN. Pięć z nich dotarło do ścisłego finału, który miał miejsce w Pol-sat Plus Arenie Gdynia. Główny puchar i tytuł mistrzowski powędrowały tym razem do Szkoły Podstawowej w Sieprawiu, ale prawdziwym zwycięzcą okazała się każda placówka, która włączyła zielone światło dla aktywności fizycznej.

Szkoły podstawowe coraz częściej dołączają do programów wspierających ruch wśród dzieci. Najlepszym tego przykładem jest Drużyna Energii. – Szczególnie cieszy mnie jeden element tegorocznej edycji: fakt, że chłopcy z pełnym zaangażowaniem stanęli w pierwszym szeregu tam, gdzie pojawił się taniec. To doskonały dowód na to, że nowa dyscyplina świetnie spełniła swoją rolę i naturalnie zintegrowała młodzież – podkreśla Magdalena Marszałkowska, dyrektor

Departamentu Marketingu Energi SA. – Nie zmienia się jedno: do pięciu zwycięskich szkół trafi ponad 75 tysięcy złotych na rozwój ich sportowych przestrzeni. Drużyna Energii to nie tylko projekt sportowy, ale przede wszystkim wspólna pasja i realne wsparcie dla placówek, które stawiają na aktywność i dobrą energię.

Mistrzowski skład

Ponownie do aktywności fizycznej zachęcali dzieci z klas 4-8 szkół podstawowych ambasadorowie. Jak co roku byli nimi profesjonalni sportowcy, reprezentujący różnorodne dyscypliny – od sportów zespołowych jak rugby czy koszykówka po taniec. Ich obecność podkreśla, że ruch to nie tylko sport wyczynowy, ale każda forma aktywności fizycznej, od codziennych spacerów po profesjonalny trening, która buduje zdrowe nawyki i inspiruje dzieci do działania. – Bardzo często zadajemy sobie pytanie: dlaczego warto się ruszać? Nie po to tylko, aby być zdro-

wym. W wieku szkolnym to ważne, żeby budować relacje, motywować się nawzajem i żeby wspólnie, fajnie spędzać czas. Dla tych dzieci jesteśmy tylko magnesem, aby z nimi rozmawiać i motywować. Wielkie podziękowania należą się nauczycielom, bo to oni motywują uczniów do aktywności – mówi Piotr Gruszka, były reprezentant Polski w siatkówce, ambasador Drużyny Energii.

Sport, który nie wyklucza

Głównym celem wszystkich sportowców było przekazanie młodzieży ducha drużyny, jakim jest wspólne działanie i wzajemne motywowanie się. Bo to od tego najczęściej, nie tylko na boisku, zależy sukces. – W rugby na boisku walczyliśmy, ale poza nim się wspieramy. W Drużynie Energii chcemy pokazać, że nie trzeba być wybitnym sportowcem, wystarczy, że chcesz się ruszać, poznać nowe sporty. Każda z naszych ekip pracuje razem, jak w rodzinie. Dzieci muszą być ze sobą, aby wygrać konkurencję. Ta współpraca i zasa-



Drużyna Energii: finał pełen ruchu, tańca i współpracy – młodzież pokazuje, że sport to coś więcej niż rywalizacja.

dy fair play bardzo się liczą i to staramy się przekazać młodzieży w tym projekcie – wyjaśnia Hanna Maliszewska, rugbistka i ambasadorka programu.

Pasja, która zmienia życie

Nie tylko doświadczeni trenerzy i reprezentanci Polski wcielili się w rolę nauczycieli i mentorów. Dla młodzieży szkolnej dobrym przykładem może być ktoś z ich wieku. – Dobrze się z nimi dogaduję, bo są w podobnym

do mnie wieku. Rozpoznają mnie, podchodzą, żeby przybić piątkę. Mówią, że pomogłem im się zmienić. Ja wspieram ich, a oni mnie - cieszy się 15-letni Kacper Gołębiowski, influencer i ambasador programu.

Taniec - nowy wymiar ruchu

Wspomnianym wyróżnikiem tej edycji Drużyny Energii był taniec. Tę formę aktywności propagowali doświadczeni instruktorzy.

– W każdej szkole ćwiczyły dziewczyny, ale także chłopcy. Były szkoły, w których to chłopcy byli prowadzącymi. Ich odwaga jest coraz większa. Nie ukrywamy, że w sportach tanecznych chłopców jest mało, więc są na wagę złota. Wszystko zależy od osoby. Z jednej strony można zmęczyć się na treningu, a z drugiej strony przez taniec wyrazić siebie – tłumaczy Przemysław Gizak, ambasador programu i trener w gdańskim klubie Teal Dance.

Szkoły na medal

Wielki Finał w Gdyni był zwieńczeniem wielomiesięcznej pracy uczniów i nauczycieli. Na profesjonalnym parkiecie spotkała się najlepsza piątka w kraju, reprezentująca pięć żywiołów: Publiczna Szkoła Podstawowa w Krzeszowie Górnym, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Stobnie Siódmym, Szkoła Podstawowa w Liniewie, Szkoła Podstawowa w Sieprawiu oraz Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bukowinie.

Mnich ma ponad dwa tysiące siekier

Magda Ciasnowska

Siekier fińskie, amerykańskie, japońskie i australijskie. Kowalskie, ciesielskie, obosieczne i topory. W sumie ponad 2 tysiące eksponatów można znaleźć w Muzeum Siekier w Wojtówce w gm. Knyszyn. Każde z nich jest naostrzone i gotowe do pracy

Po przekroczeniu progu niewielkiego, drewnianego budynku ma się wrażenie, że siekiery są dosłownie wszędzie. Zakrywają ściany od podłogi aż po sufit, tworząc niezwykłą ekspozycję. Dopiero po chwili okazuje się, że część tych ścian to w rzeczywistości ukryte drzwi. Gdy zostają otwarte, oczom zwiedzających ukazują się kolejne rzędy eksponatów zawieszonych na następnych ścianach. Każde otwarcie odsłania następne skarby kolekcji, sprawiając, że muzeum okazuje się być znacznie większe, niż można przypuszczać na pierwszy rzut oka.

- Na początku trzymałem te siekiery w garażu w Białymstoku, ale kiedy zgromadziłem ich około 1500, garaż był już całkowicie zastawiony - wspomina Krzysztof Mnich, twórca Muzeum Siekier. - Wymyśliłem więc system, który pozwolił mi w Wojtówce trzykrotnie zwiększyć powierzchnię ekspozycyjną. Niektórzy mówią, że jest to dom z największą liczbą drzwi. W sumie jest ich tu czternaście.

Zaczął się od dawnych narzędzi

Krzysztof Mnich to pasjonat dawnych narzędzi i kolekcjoner, który od lat rozwija swoją wyjątkową kolekcję. Muzeum Siekier mieści się na terenie Wioski Mnicha w Wojtówce. To zespół zabytkowych, drewnianych zabudowań, które właściciel samodzielnie odrestaurował i przystosował do nowych funkcji.

Początki muzeum nie były jednak związane z siekierami. Najpierw powstała stolarnia, a wraz z nią kolekcja odnowionych narzędzi rzemieślniczych. Wśród zgromadzonych przedmiotów znalazły się m.in.: strugi, piły ręczne, świdy, młotki, poziomice, ręczne wiertarki, śrubokręty, dłuta, ośniki. Brakowało tylko siekiery.

- Pamiętam tę pierwszą. To była niemiecka, bardzo ładnie wykonana siekierka, zrobiona na trzonku z mahonia azjatyckiego. Nawet chwaliłem się nią w Sylwestra 2021 roku. I to był moment, kiedy zacząłem interesować się siekierami lepszych marek - wspomina pan Krzysztof.



- Mówią, że to największa taka kolekcja w Europie, a może nawet na świecie. Co prawda są osoby, które mają więcej siekier, ale często są to same głowice leżące gdzieś w piwnicach albo magazynach - mówi Krzysztof Mnich

W internecie Podlasiainin trafił na grupę poświęconą tematowi siekier. Okazało się, że tak jak niektórzy zbierają znaczki czy monety, wielu ludzi poświęca swój czas i środki właśnie na siekiery. Za pośrednictwem sieci się nimi chwala, wymieniają się, sprzedają i kupują kolejne wyjątkowe egzemplarze. Momentalnie wciągnęło to pana Krzysztofa i jego zainteresowanie szybko przerodziło się w pasję, a następnie w kolekcję o imponujących rozmiarach. Dziś jego zbiory liczą ponad dwa tysiące egzemplarzy pochodzących z różnych części świata. Wśród nich są siekiery z krajów skandynawskich, Wielkiej Brytanii, Ameryki Północnej, Australii, Nowej Zelandii, Japonii, Chin, Niemiec, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Polski i wielu innych państw. Kolekcja jest stale uzupełniana o nowe okazy.

Na bierzmowaniu przyjął imię Józef, a Józef był cieślą

Zwiedzając muzeum, można zobaczyć wiele różnych siekier. Do najcenniejszych należy amerykański Black Raven, którego wartość kolekcjonerska sięga dziś kilku tysięcy dolarów.

Każdy, kto tu wejdzie, zobaczy nie tylko mnóstwo marek, ale także wiele typów siekier, z których każda ma konkretne zastosowanie.

- Siekiera do łupania powinna stopniowo się rozszerzać. Mam model, który według mnie jest najlepszą siekierą do rozszczepiania drewna. Gdy wejdzie głębiej w pień, skutecznie go rozłupuje, a później łatwo ją wyjąć - opowiada właściciel kolekcji.

W zbiorach znajdują się także siekiery typu double bit, czyli z podwójnym ostrzem.

- Jedni używali ich dlatego, że dwa ostrza oznaczały dwa razy więcej pracy bez ostrzenia. Inni zaś jedno ostrze przeznaczali do okrzesywania drzew, a drugie do wykonywania podcięć przy ścinaniu pni - wyjaśnia Krzysztof Mnich.

Są też stuletnie ośniki służące do korowania bali, fińskie siekiery wojskowe, siekiery dachowe czy specjalne modele racingowe, wykorzystywane podczas zawodów drwali.

Nie brakuje również egzemplarzy wyprodukowanych wiele dekad temu, które nigdy nie trafiły do użytku.

- Są też tak zwane leżaki magazynowe - siekiery mające 80 czy 100 lat, ale nigdy nie używane. Leżały w magazynach albo nie zdążyły ich osadzić na trzonkach. Takie egzemplarze są szczególnie cenione przez kolekcjonerów. Dopóki mają fabryczne naklejki i nie zostały ani razu naostrzone i użyte, mają wielką wartość - tłumaczy pan Krzysztof.

Jest także spora kolekcja siekier ciesielskich, które właściciel tego niezwykłego muzeum darzy szczególną sympatią.

- Może dlatego, że na bierzmowaniu przyjąłem imię Józef, a Józef był przecież cieślą - śmieje się kolekcjoner.

- Mam około dwustu siekier ciesielskich i bardzo je lubię. Patrę też na ogrom pracy, jaką trzeba było włożyć w ich wykonanie. Często takie siekiery powstawały z trzech elementów. Dziś coś podobnego można byłoby szybko wyciąć na plazmie, ale wtedy kowal musiał poświęcić na to wiele godzin ciężkiej pracy. Według mnie wykuć takiego egzemplarza mogło zajmować nawet kilka dni.

Żeby nie rdzewiały, zabezpiecza je olejem lnianym

Podlaskie muzeum jest znane pasjonatom tematu na całym świecie.

- Mówią, że to największa taka kolekcja w Europie, a może nawet na świecie. Co prawda są osoby, które mają więcej siekier, ale często są to same głowice leżące gdzieś w piwnicach albo magazynach - mówi Mnich.

Ta rozpoznawalność sprawia, że do pana Krzysztofa coraz częściej zgłaszają się kolekcjonerzy, którzy chcieliby się pozbyć swoich kolekcji.

- Dwa lata temu pojechalismy do Helsinek po 170 siekier.

Właściciel kolekcji powiedział, że sprzeda je tylko mnie, bo wiedział, że trafią do muzeum darzy szczególną sympatią. Nie chciał rozsprzedawać ich pojedynczo różnym kolekcjonerom. Teraz podobna sytuacja jest w Szwecji. Jeden z kolekcjonerów przygotował dla mnie 50 stuletnich, nieużywanych siekier z zachowanymi naklejkami. Na początku lipca jedziemy je odebrać - zdradza Podlasiainin.

Kolekcja pana Krzysztofa jest niezwykle cenna nie tylko kolekcjonersko.

- Siekierę można kupić za 50 czy 100 euro. Jeśli model jest rzadki, trzeba zapłacić 200-300 euro. A jeśli mówimy o najrzadszych egzemplarzach, jak Black Raveny, ceny są już znacznie wyższe - przyznaje kolekcjoner.

Pan Krzysztof egzemplarzy z całego świata szuka w internecie. Kiedy siekiera, bądź niekiedy cała kolekcja siekier już do niego trafi, nie od razu ląduje na ścianie.

- Wszystkie są czyszczone i odnawiane. Część z nich musi otrzymać nowe trzonki - opowiada. - Zależy mi przede wszystkim na tym, żeby siekiery nie rdzewiały. Zarówno trzonki, jak i głowice zabezpieczam olejem lnianym. Dobrze spełnia swoją funkcję, a jednocześnie jest naturalny - nie zmienia koloru drewna i pięknie podkreśla jego strukturę.

Jednak po tym wszystkim siekiery nie stają się zwykłymi, kurzącymi się eksponatami muzealnymi.

- Filozofia tego miejsca jest taka, że te narzędzia mają żyć. Przychodzę tutaj z synami, biorę siekiery, każdemu daję po jednej i rąbamy. Jeśli trzeba przeciąć gałąź, po prostu biorę siekierę ze ściany i idę do pracy. Wszystkie są naostrzone i przygotowane do użycia - podkreśla kolekcjoner.

Oczywiście są też bardzo stare egzemplarze, nawet dwustuletnie, które nie są poddawane zbyt mocnej odnowie.

- Nie ostrzę ich i zostawiam w bardziej muzealnym stanie. Ale nawet wtedy staram się założyć odpowiedni trzonek, żeby odwiedzający mogli wziąć taką siekierę do ręki i poczuć, jak korzystano z niej przed laty - zaznacza.

Muzeum Siekier można zwiedzać po wcześniejszym umówieniu terminu. Wizytę w nim można połączyć z poznawaniem Wioski Mnicha, warsztatami stolarskimi czy wizytą w kuźni, gdzie promowana jest praca ręczna i rozwijanie praktycznych umiejętności. Jak podkreśla Krzysztof Mnich, wizyta nie ogranicza się jedynie do oglądania eksponatów.

- Jeśli jestem na miejscu, oprowadzam osobiście. Zdejmujemy siekiery ze ścian, bierzemy je do ręki, a czasem nawet idziemy coś porąbać. Chcę, żeby ludzie mogli poczuć, jak pracuje takie narzędzie - mówi właściciel kolekcji.

Na odwiedzających czekają również tory do rzucania siekierami.

Muzeum odwiedzają zarówno osoby indywidualne, jak i grupy zorganizowane.

- Dopiero kiedy ludzie widzą setki różnych wzorów, zaczynają dostrzegać, że za każdą siekierą stoi konkretna historia i przeznaczenie - podkreśla Krzysztof Mnich.

A jak zaznacza kolekcjoner, ta historia ciągle trwa.

- Siekiera przez wieki towarzyszyła człowiekowi. Była jednym z najważniejszych narzędzi codziennego życia. Ostatnio ktoś zapytał mnie, po co dziś jeszcze komuś siekiery, skoro są piły spalinowe i inny nowoczesny sprzęt. A przecież nawet teraz, podczas wojny na Ukrainie, nikt nie odpalał piły tam, gdzie trzeba było zachować ostrożność. Piła jest głośna, wytwarza ciepło i wymaga paliwa. Siekierą można po cichu przygotować drewno, rozpałić ognisko czy zadbać o podstawowe potrzeby rodziny. To wciąż narzędzie, które ma swoje bardzo ważne zastosowanie.

Psi problem jest w człowieku

Agnieszka Domka-Rybka
Zbliżenia

Płacą 5000 złotych za szczeniaka modnej rasy, a potem oddają go za darmo, bo zmieniła im się „sytuacja życiowa”. Takie ogłoszenia zalewają internet. Nie lepiej kupić sobie pluszaka?



FOT. PIOTR HUKALO

Dzisiaj najbardziej naturalne psy to kundelki. Rasowym ludziem bardzo namieszali w genach, dlatego sprawiają kłopoty

Mam suczkę border collie, wymagająca rasa. Jesteśmy dla Megi czwartym już domem, wcześniejsi właściciele nie radzili sobie z nią. Każdy brał, bo ładna, bo modna, ale, jak na złość, nie chciała tylko leżeć na kanapie i zaczęły się kłopoty - opowiada pani Ania z Inowrocławia, nowa właścicielka Megi. - Taki psiak na życie poduszkowe się nie zgodzi. U nas na początku też atakowała, ale pracowaliśmy z nią cierpliwie i dzisiaj jest nie do poznania. Niektórzy kupują psy, bo są śliczne na zdjęciu, a one potem pokazują swój charakter. Hodowla zarobi, i to nieźle: rasowe szczeniaki chodzą za dobre kilka tysięcy. To dzisiaj działa zupełnie jak sprzedaż telewizora, pasty do zębów, tostera do kanapek. Błagam, aby takie psy nie były świątecznym prezentem. Podarujcie lepiej dziecku zwierzączka na baterię!

Pani Ania uratowała od bezdomności Megi, którą jeden kupił, inny na niej zarobił, a potem? Trzeba było pozbyć się problemu...

Agresja nie jest przypadkowa

Oto post, jeden z wielu podobnych, znaleziony na Facebooku: „Z bólem serca jesteśmy zmuszeni oddać naszego pieska rasy border collie, który jest u nas od 2 miesięcy. Dzięki atakował nasze dziecko, na szczęście nie doszło do pogryzienia. Adoptowaliśmy go od starszej pani, która nie dała sobie rady. Piesek nie był

ułożony od szczeniaka. Poświęciliśmy i nadal poświęcamy mu dużo uwagi i są tego efekty, jednak nie mamy więcej czasu, aby z nim pracować, i też funduszy na behawiorystów. Pies nie nadaje się do domu z małymi dziećmi. Chyba że ktoś będzie miał czas, aby z nim pracować. My mamy trójkę małych dzieci i, niestety, nie posiadamy możliwości finansowych i czasowych, aby zainwestować w behawiorystów i dalej pracować z Dżekim”.

Cytujemy zupełnie przypadkowy wpis z Grupy „Borderzy i w typie do adopcji”. Choć trudno w to uwierzyć, ale tam każdego dnia ktoś chce oddać psa. Psa, którego adoptował lub kupił za spore pieniądze. Krew człowieka zalewa, bo, niestety, podobne wpisy są na wszystkich „psiarskich” grupach. Ktoś oddaje, ponieważ zwierzę jest agresywne, nagle zmieniła się czyjaś „sytuacja życiowa” lub „członek rodziny jest uczulony na sierść”. Alergia to od dawna smutny standard!

Jednak ten komentarz (dotyczący Dżekiego) powinien niektórych postawić do pionu: „Mam bordera, ciągle na tej grupie widzę posty, że ktoś wziął takiego psa, bo miał być pięknym misiaczkiem do przytulania i zabawy, ale przerósł jego oczekiwania. Przecież BC musi się dużo ruszać, lubi się uczyć i często nie nadaje się do bycia w domu, gdzie są dzieci, które nie wiedzą, jak z nim postępować. Jak widzę takie wpisy, to mi serce pęka! Przecież przed zakupem powinno się zapoznać z rasą, trzeba zwierzątkowi dać dużo uwagi i miłości, a wtedy ją odda z zapasem. Mam nadzieję, że rodzina lub osoba, która przysparmi Dżekiego, wykaże się rozumem, poczyta, przemyśli, czy ma odpowiednie warunki. Przede wszystkim - czy wie, że pies rośnie, starzeje się i z czasem, kiedy zacznie chorować, to nadal jest członkiem rodziny, któremu trzeba zapewnić godną starość, co kosztuje. Czego rodzice uczą swoje dziecko, że każdego można oddać, że nie ma odpowiedzialności za własne czyny i wybory? Żal dziecka, które wyrosnie na takiego samego dorosłego jak jego rodzice, a przede wszystkim żal psa, który nie miał szczęścia trafić ma mądrych właścicieli”.

- Wcale nie dziwią mnie takie sytuacje, ale to dzisiaj, niestety, chleb powszedni - komentuje Maciej Hadzicki, doświadczony trener psów, który z żoną prowadzi „Holly” Dom Tymczasowy dla psów w Bydgoszczy. Opowiada, że przez lata psy zmieniły się, ludzie bardzo namieszali i cały czas mie-

szają w ich genach, dlatego tak często są z nimi problemy: zdrowotne (dużo chorują) i emocjonalne. Agresja też nie jest przypadkowa.

Niektórzy nie radzą sobie albo nie chce im się dać zwierzęciu tego, czego potrzebuje, i oddają je do adopcji.

- Kiedyś psy były naturalne, a dzisiaj ingeruje się w ich naturę, żeby były jak najładniejsze: piękne brzuszki, błyszcząca sierść, uszka. Zna-

czy, żeby dobrze się sprzedawały. Dawniej suczki szceniły się raz w roku, a dzisiaj są hodowle, w których zachodzą w ciążę nawet dwa razy w roku. Normalnie przemysł! - ubolewa pan Maciej. Podaje przykład znajomej, która pojawiła się u niego, ponieważ miała problem z pieskiem rasy golden retriever. - Goldeny były bardzo modne 20 lat temu i koleżanka też kiedyś miała goldenkę. Gdy pupilka

odeszła za tęczy most, zastąpiła ją innym pieskiem i po latach znów wybrała tę rasę. Przyszła do mnie po pomoc, ponieważ nie mogła nad nią zapanować. Mówiła, że jest zupełnie inna niż „stara” goldenka. No tak, bo to są już dzisiaj zupełnie inne psy i to człowiek je zmienił. Powstają pseudohodowle, gdzie liczy się tylko zysk. Dlatego, zanim kupimy psa, sprawdźmy hodowlę, jakie

tam są warunki, jak prowadzi psy, czy liczy się w niej dobro zwierząt, czy tylko pieniądź.

Hadzicki dużo też pomaga m.in. właścicielom modnych buldogów francuskich. - Tak mało natury jest w tych pieskach, że aż żal, tak namieszano w ich genach. Męczą się, mając np. problemy z oddychaniem. One powinny mieć stały dostęp do wody, ale czy wszyscy właściciele o tym wiedzą? Niektórzy zamiast zabezpieczyć im stały dostęp do wody, żeby nie dyszały, woła ubierać je w ubranka i kokardki. Ludzie, pies powinien pozostać psem! On nie czuje się dobrze w kokardkach!

REKLAMA

0011544425

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE

Pierwsze wrażenie robi się tylko raz.

Zadbaj o wizytówkę swojego domu

AMBASADOR
Szymon Marciniak

Drzwi wejściowe MB-86N Pivot Door

Marzenia za jeden uśmiech! Poznajcie kolejnych ambasadorów radości najszczerzej, bo dziecięcej

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskappress.pl

Od początku czerwca trwa akcja Uśmiech Dziecka, w ramach której tworzymy galerię setek zdjęć, szerokich uśmiechów i rodzinnych, wzruszających historii. W rozmowach z nami rodzice opowiadają nie tylko o charakterach i pasjach swoich pociech, małych uczestników naszej akcji, ale także o tym, co sprawia im radość i jakie mają marzenia, bo nagroda główna w naszej akcji to przecież aż 40 000 złotych na spełnienie marzeń dziecka i jego rodziny!

A pragnienia są różne. Niektóre dzieci chciałyby polecieć samolotem lub zobaczyć egzotyczne zwierzęta. Inne marzą

o nowym rowerze, własnym pokoju czy wspaniałych zabawkach. Są też pomysły kosmiczne, pełne fantazji! Tak, dziecięce marzenia potrafią i zaskakiwać, i wzruszać, i przypominać, jak cudownie jest być dzieckiem oraz spędzać czas w ulubiony sposób. To właśnie dlatego jednym z elementów naszej najbardziej uśmiechniętej akcji w roku jest możliwość pomocy w realizacji marzeń. Dzięki nagrodzie głównej w Uśmiechu Dziecka niektóre z tych małych i dużych pragnień zdecydowanie mają szansę zamienić się w niezapomnianą rzeczywistość.

Dzisiaj przedstawiamy kolejnych uczestników tegorocznej edycji plebiscytu. - To mali am-

basadorzy dziecięcej radości, których uśmiechy potrafią zarażać optymizmem, a historie wzruszać i inspirować. Każde dziecko jest inne, każde wyjątkowe, ale wszystkie przypominają nam, jak pięknie można patrzeć na świat z dziecięcej perspektywy. O swoich pociechach opowiadają ich rodzice. W ich słowach czuć dumę, czułość i zachwyt nad tym, jak mali bohaterowie odkrywają wielki świat. Mamy nadzieję, że prezentowane historie wywołają uśmiech u naszych czytelników, a może nawet przypomną im własne dziecięce marzenia i chwile, które do dziś noszą w pamięci - mówi redaktor prowadząca akcję Ewelina Żuberek.

DZIEWCZYNKI i CHŁOPCY od lat 2

Konie, koty i psy wywołują u Bartka więcej emocji niż niejedna, najpiękniejsza zabawka

Bartek to chłopiec, którego trudno wyobrazić sobie bez uśmiechu. Jak mówi jego mama, pogodny wyraz twarzy towarzyszy mu właściwie od momentu, gdy nauczył się świadomie się uśmiechać. Największą radość sprawiają mu aktywne zabawy, gilgotki, czochranki i proste zabawy w „a kuku”. Uwielbia także huśtawki, puszczenie baniek mydlanych oraz rzucanie piłką. Jednak jest coś, co wywołuje u niego prawdziwą eksplozję szczęścia. - Najwięcej pozytywnych emocji, szczerzy uśmiech, piski szczęścia i ogromną radość widzimy w kontakcie ze zwierzętami. Koty i psy to jest to, co Bartek lubi najbardziej. Bardzo lubi zajęcia z hipoterapii i mógłby jeździć na koniu godzinami - mówi Aleksandra Taras. Chłopiec fascynuje się również pojazdami. Autobusy, pociągi, traktory i samoloty przyciągają jego uwagę niemal natychmiast. Bartek jest dzieckiem z niepełnosprawnością, ale jego mama podkreśla, że każdego dnia zachwyca ją jego siła charakteru, pogoda ducha i determinacja. Obserwując jego rozwój oraz efekty rehabilitacji, widzi, jak



wiele wysiłku wkłada w pokonywanie kolejnych wyzwań. - Cieszy mnie jego ciekawość świata i pozytywne nastawienie - opowiada mama. Nie brakuje mu również poczucia humoru i dziecięcej przekory. - Potrafi psocić i wywołać tym śmiech

u reszty rodziny - dodaje ze śmiechem. Obecnie Bartek przechodzi przez etap, który wielu rodziców zna bardzo dobrze - etap „ja”. - Wszystkie drzwi do otwarcia i zamknięcia są jego. Może zostanie odzwierciadłem żartuje pani Aleksandra.

Czytaj więcej o akcji na gk24.pl/usmiech

MALUSZKI do lat 2

Tahura potrafi zatrzymać się przy zwykłym liściu i odkryć w nim coś niezwykle fascynującego

Tahura Amiri każdego dnia udowadnia, że świat pełen jest rzeczy wartych odkrywania. Jest pogodnym i ciekawym światem dzieckiem, które z ogromnym zainteresowaniem obserwuje wszystko, co dzieje się wokół. Największą radość sprawiają jej wspólne chwile spędzane z rodziną, zabawy oraz poznawanie nowych miejsc. Na jej twarzy często pojawia się uśmiech podczas wspólnych zabaw z bliskimi, śpiewania piosenek czy zabawy w „a kuku”. - Bardzo cieszy się także na widok zwierząt, spacerów i nowych miejsc do odkrywania - mówi mama dziewczynki.

Tahura uwielbia oglądać książeczki, bawić się klockami i zabawkami interaktywnymi. Chętnie poznaje świat poprzez obserwowanie, dotykanie i samodzielne eksperymentowanie. Dużą przyjemność sprawiają jej również aktywności ruchowe, takie jak raczkowanie, chodzenie przy meblach czy zabawy na placu zabaw.

Rodzice najbardziej cenią w niej naturalną ciekawość świata oraz pogodną usposobienie. Dziewczynka z wielkim



zaangażowaniem obserwuje otoczenie i potrafi zachwycić się rzeczami, które dla dorosłych często pozostają niezauważone. - Wyjątkowa jest jej radość z małych odkryć. Potrafi z entuzjazmem pokazywać nowo poznane przedmioty i dzielić się swoim zachwytem

z innymi - opowiada mama. Szczególnie podczas spacerów można zauważyć, jak bardzo interesuje ją wszystko wokół. - Zatrzymuje się, aby przyjrzeć się liściom, ptakom czy przejeżdżającym pojazdom, a następnie wskazuje je palcem i ocenia naszej reakcji - dodaje.

MALUSZKI do lat 2

Liliana chce już wszystko robić sama, a każdy spacer dziewczynka zamienia w małą przygodę

Liliana Janyga to dziewczynka, przy której trudno się nudzić. Każdy dzień przynosi nowe niespodzianki, a rodzice często przekonują się, że życie z małym dzieckiem potrafi być pełne zabawnych i nieprzewidywalnych momentów. - Nigdy nie wiadomo, czy dostaniemy najpiękniejszy uśmiech świata, czy zostanieiemy opluci zupką, którą uwielbia, ale akurat dziś jej nie smakuje - mówi z uśmiechem mama, Oliwia Zalewska.

Najwięcej radości sprawiają Lilianie wspólne spacerowanie i odkrywanie świata na własnych zasadach. Dziewczynka jest bardzo ciekawa otoczenia i chętnie poznaje nowe miejsca. - Najbardziej lubimy spacerować tam, gdzie Liliana jest zadowolona. Zazwyczaj kończy się to placem zabaw bądź raczkowaniem po chodniku, ponieważ ona chce już wszystko sama - opowiada mama.

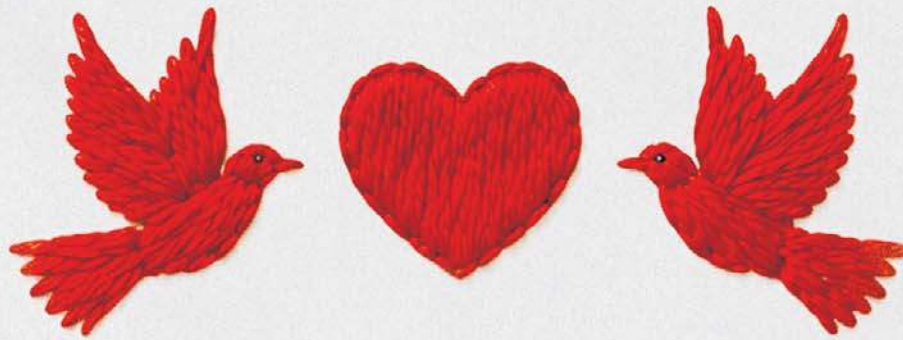
Ta potrzeba samodzielnego działania sprawia, że każdy spacer wygląda inaczej. Dla Liliany świat jest wielką przygodą, którą chce poznawać krok po kroku, a właściwie - czasem jeszcze na czworakach.



Rodzice podkreślają, że ich córka jest pełna energii i determinacji. Potrafi jasno pokazać, czego chce, a jednocześnie każdego dnia zaskakuje ich swoim rozwojem i coraz większą samodzielnością. Nie brakuje także zabawnych sytuacji związanych z podróżami. Jak przy-

znaje mama, wyjścia z małym dzieckiem często wyglądają zupełnie inaczej, niż planują dorośli. - Prawdę mówiąc, czasem celem podróży jest przetrwanie dziesięciu minut w wózku, gdy rodzice mają coś pilnego do załatwienia - śmieje się pani Oliwia.

Wsi spokojna,
wsi wesola,
najwsinialsza



PULS
#222

Ta nasza jedyna, wyimaginowana

Str. 20 - 21

Adam Buła

TANIEC NA NOWEJ
DOSTAWIE TRUPÓW

Miała być wielka, nokautująca rząd Tuska afera, a wyszło polskie piekło. Jak się rzuca granat w stylu: "tam giną ludzie", to kończy się polityczne złoto, a zaczyna dyskusja o granicach szaleństwa. Bo na dziś to wygląda na kolejny, makarbyczny taniec na świeżych trupach.

Dlatego tylko o tym, co wydaje się być poza sporem: Młody lekarz, jeszcze na rezydenturze, był też radnym PO, więc musiał złożyć oświadczenie majątkowe, a w nim wyszło, że w ubiegłym roku zarobił 1,6 mln zł. Było to systemowo i technicznie możliwe (wysokie stawki na kontraktach + zatrudnienie w kilku miejscach) i podobnych milionerów jest wielu, ale konkrety pojawiały się dotąd tylko przy innych lekarzach-radnych. Nasz bohater był bezczelny i niechlujny, więc szybko okazało się, że np. "był w pracy" jako lekarz i równocześnie w telewizji jako polityk. Efekt: zwrócił 1/3 tych zarobków, wyleciał z PO i z roboty, a resztą zajmuje się prokuratura.

Na drugim poziomie był salonik VIP dla polityków PO. Młody lekarz-partyzant miał po politycznych układach trząść całym szpitalem, bez uprawnień być szefem wielkiego SOR, a dla sitwy prowadził osobny salonik VIP, gdzie najważniejsi politycy PO wjeżdżali na zabiegi bez kolejki. Tyle opowieść. A fakty? Z polityków PO w saloniku została jedna posłanka, która się wepchała do kolejki na zabieg gdzieś na południu Polski, a niekadrowane zdjęcie pomieszczenia w Szpitalu Południowym w Warszawie - siedlisku zła - ujawnia, że nie ma w nim nic "vipowskiego". Nawet zasłabnięcie chorej na raka posłanki Katarzyny Piekarskiej, oplutej na tę okoliczność przez rozochoconych aferą polityków PiS, nie zatrzymuje raz nakręconej, fajnej dla opozycji "narracji".

Nie znaczy to, że salonika VIP dla peowieckiej sitwy tam nie było. Znaczy to, że nikt nie widział na to żadnych dowodów poza autorem tekstów na temat, Patrykiem Słowikiem z Kanału Zero, który "wie, ale nie powie".

Pan Słowik wszystko "wie" dzięki sygnaliście. To lekarz-chirurg, wcześniej sam dyrektor w Szpitalu Południowym, dziś sądzący się z nim o 500 tys. - z daniem szpitala - niezasadnie pobranej kasy. I jakoś by się to toczyło dalej, gdyby nie rozmowa szefa Słowika i Kanału Zero, Krzysztofa Stanowskiego, który gasnącą "afere" postanowił reanimować, wyciągając sygnalistę do frontowej rozmowy. No i człowiek palnął na wizji: "tam giną ludzie, bo ktoś się uczy". To znaczy ginęli rok wcześniej, ale sygnalista zachował to info akurat na wczoraj, dla Stanowskiego.

Zanim cokolwiek uściślono, mogliśmy już w mediach "robiących" tę aferę oglądać - w WYDANIACH SPECJALNYCH - szpital z lotu ptaka, z tytułem "tam giną ludzie" i opowieścią, jakby Trzaskowski właśnie w środku zajmował się mordowaniem.

A fakty? Szybko sklejono z młodym lekarzem-rezydentem dwa przypadki śmierci na SOR. A potem wyszła prokuratura z papierami i podała: W ciągu ostatnich 3,5 roku do prokuratury trafiło 12 zawiadomień w sprawie zgonów w Szpitalu Południowym, pięć z nich dotyczyło sytuacji na SOR, żadna nie ma związku z pracą doktora Dawida Kacprzyka, czyli młodego lekarza-radnego z PO.

Tylko ludzie totalnie złej woli lub zupełnie nie mający pojęcia o realiach polskiej służby zdrowia mogą uwierzyć na słowo, że w szpitalu na SOR mogło dojść do śmierci pacjenta wskutek błędu lekarza-rezydenta i sprawa mogłaby pozostać w kompetentnej tajemnicy. Co nie znaczy, że nie mogłaby być potem skreślona, przekreślona, umorzona, co tam chcecie...

Faktów będzie przybywać z każdą godziną, ale nie będą miały już one większego znaczenia. Podwaliny pod nowy "Smoleńsk", tak rozpaczliwie oczekiwany przez propagandyistów PiS, zostały położone.

Adam Willma

EMALIOWANY TOMBAK
W CENTRUM WYDARZEŃ

Bardzo lubię te ceremonie obwieszania się orderami, bo niechęcy opowiadają nam one bardzo wiele nie tylko o politycznej rzeczywistości, ale i o ludzkiej naturze. Pradziadami współczesnych orderów były odznaki noszone przez członków świeckich zakonów rycerskich. Ot, znak przynależności do elity. I w tej kwestii nic się nie zmieniło. Później wystartowali Anglicy z Orderem Podwiązki i tak już poszło. W XVIII wieku każdy dwór stawiał sobie za punkt honoru posiadanie klejnocików w tak nowoczesnej i modnej formie. Tym bardziej że te - po napomowaniu patosem i tromtadactwem - mocno zyskiwały na wartości. W efekcie w przystępny cenowo sposób można było obłaskawiać orderami nawet koronowane głowy, nie mówiąc o dożgonnej wdzięczności poddanych.

Zanim otworzycie sobie listę uhonorowanych Orderem Orła Białego, zapnijcie pasy, bo czeka was droga pełna fikołków od Sasa do lasa. Zostawmy jednak historyczne ukłony w kierunku zaborców, a skupmy się na błękitnych wstęgach zawieszanych przez prezydentów III RP. Kogóż tu nie ma? Jest Jan Paweł II z grupą biskupów (konia z rżędem temu, kto wytłumaczy, co tam robi abp Gołowski), ale także kapelan górniczej Solidarności. Jest grupa emerytowanych polityków, m.in. z Jerzym Buzkiem, Adamem Michnikiem, Hanną Suchocką, Janem Krzysztofem Bieleckim, Antonim Macierewiczem czy Joanną Wnuk-Nazarową (była minister kultury, gdyby ktoś nie pamiętał). Jest paru dość dowolnie dobranych sportowców i kilku aktorów (m.in. Franciszek Pieczka i Gustaw Holoubek, o którym przypominano sobie dopiero po śmierci), kilku lekarzy, paru muzyków, działaczy społecznych i plastyków. A zdumiewający brak wielu wybitnych nazwisk każe sądzić, że przy kolejnych nominacjach często działała zasada „bliźsza koszula ciału”.

Zresztą bez przesady z tym pośpiechem, tu zawsze jest czas na poprawki. Nie bez powodu największą grupę odznaczonych stanowią „pośmiertni” - ci przynajmniej nie stroją fochów podczas dekoracji.

W 2018 roku Andrzej Duda przypomniał sobie, że orderu z niebieską wstęgą nie dostali jeszcze Władysław Reymont, Maria Skłodowska-Curie, Stefan Żeromski, Kornel Makuszyński, Roman Dmowski i Janusz Korczak. Za jednym zamachem pośmiertnie uhonorowany został również Ludwik Dorn.

Przy okazji prezydent machnął jeszcze kilka podpisów pod nazwiskami żyjących bohaterów, m.in. Ireny Szewińskiej, historyków Andrzeja Nowaka i Wojciecha Roszkowskiego, a także architekta i polityka Czesława Bieleckiego.

Prawdziwy cyrk zaczyna się jednak, gdy przejrzymy listę zagranicznych odznaczonych. Tu szerokim gestem wykazał się Aleksander Kwaśniewski, który Orła Białego wieszał nie tylko na piersi Gerharda Schrödera, ale również oskarżonego o zbrodnie przeciw ludzkości prezydenta Rumunii Iona Iliescu i groteskowego autokraty Nursułtana Nazarbajewa.

Najzabawniejsza jest jednak galeria królowych honorowanych „za znamienite zasługi zarówno cywilne, jak i wojskowe, położone w czasie pokoju lub wojny, dla chwały i pożytku Rzeczypospolitej Polskiej” (oficjalna formuła). Wygląda na to, że niemal każda z koronowanych w Europie pań może dziś wyjąć ze szkatułki z biżuterią białego orzełka.

Gwoli ścisłości przyznać trzeba, że przywieszanie emaliowanych blaszek nie jest modą typowo polską. Sam Aleksander Kwaśniewski ma 38 takich państwowych blaszek, w tym Lwa Białego, Słońce Peru, Krzyż Ziemi Maryjnej, Order Łaźni i Łańcuch Gwiazdy Rumunii.

Tak więc nie przejmujcie się za bardzo całą tą awanturą ze zwrotem orderu z kijowskiej kancelarii prezydenckiej. Mnie bardziej martwi inny medalik. Taki skromny, zaprojektowany oszczędnościowo, jakby jedynym kryterium była cena - Medal Virtus et Fraternitas. Słyszeliście o nim? No właśnie. A to odznaczenie wręczone sprawiedliwym z Ukrainy (lub ich rodzinom), którzy, narażając życie, ratowali podczas wojny Polaków. IPN wyliczył, że takich sprawiedliwych było na Wołyniu co najmniej 1300. Do tej pory medal wręczono zaledwie niespełna 50 Ukraincom, a od dwóch lat nikomu.

Aaaa, zapytacie może, czym się różni medal od orderu? Otóż medal znajduje się w polskim systemie orderowo-odznaczeniowym niżej od orderów. Gdzież tam więc Medalowi Virtus et Fraternitas do Orderu Orła Białego! W hierarchii znajduje się o 11 pozycji niżej.

Pamiętajcie, wszyscy bez wyjątku, moi rodacy w Polsce, twoi i Julio rodacy w Ukrainie i nasi przyjaciele w Europie, że przyszłość możemy zbudować tylko na prawdzie, na wzajemnym szacunku, na rozumieniu historii

FOTOkomentarz tygodnia



24 CZERWCA, EUROPA

Ledwo zaczęło się lato, a przez całą Europę już przetacza się fala potężnego gorąca. Może mniej odczuwamy je w Polsce, ale w zachodniej części kontynentu utrzymują się iście afrykańskie upały z temperaturą wyraźnie przekraczającą 40 st. C. We Francji zanotowano najwyższą temperaturę dobową w czerwcu od 1947 r., w tym kraju utonęło 40 osób, co jest łączone właśnie z ekstremalnie wysokimi upałami. Niewiele chłodniej jest w Niemczech, Hiszpanii, Belgii, czy Holandii. Władze ostrzegają przed konsekwencjami takich temperatur. A prawdziwy gorąc dopiero przed nami







FOT. PAP/EP/FLIP SINGER

REKLAMA

0011538893



Latem zadbaj o zdrowie

-  Zakwaterowanie
-  3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego
-  Konsultacja lekarska
-  2 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)
-  90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
-  Voucher do Integracja Cafe

 52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320

 medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl

 www.solanki.pl





FOT. 123RF

Katarzyna Krzywicka-Zdunek: Przyjezdni próbują wprowadzać na wieś miejski porządek, wprost z zamkniętych osiedli, gdzie po godzinie 18 nie kosi się trawnika, o 22 jest cisza nocna

KATARZYNA KRZYWICKA-ZDUNEK: POLACY ZAKOCHALI SIĘ WE WSI JAK Z INSTAGRAMA

Dlaczego Polacy fantazjują dziś o ucieczce na wieś, czego w tej fantazji nie chcą widzieć i dlaczego dobre życie poza miastem wymaga pieniędzy, samochodu oraz pokory wobec lokalnej społeczności – mówi socjolożka Katarzyna Krzywicka-Zdunek z socjolożki.pl

Anita Czapryn

Polacy pokochali wieś - na to wskazują najnowsze badania socjolożek.pl. Skąd w ogóle pomysł, żeby to zbadać?

Zaczął się od tego, że znana influencerka nagrała filmik, w którym ogłosiła: „Teraz zaczynam moją countryside era”. Opowiadała, że będzie chodziła na rynek i kupowała jajka od szczęśliwych kur. Internauci ją wykpiłi. Pisali, że romantyzuje polską wieś, że życie na wsi nie jest takie różowe, a ona zapewne przeprowadza się nie na wieś, tylko pod Warszawę, czyli na przedmieścia. I że jedyne, co będzie miała, to własny ogródek, a zakupy i tak będzie robiła w pobliskim Dino. Stwierdziłyśmy więc, że sprawdzimy, czy według Polek i Polaków życie na wsi jest atrakcyjne.

Okazało się, że jest?

Tak. Ale to jest ciekawa atrakcyjność, bo z jednej strony Polacy widzą pozytywne aspekty: spokój, ciszę, bliskość natury, czyste powietrze, własny dom z ogrodem, większą przestrzeń, wolniejsze tempo życia. Pojawia się też poczucie bezpieczeństwa, choć nie aż tak często, jak można by sądzić. Tylko co czwarty Polak uważa, że na wsi jest bezpieczniej. Natomiast spokój i ciszę wskazuje 66 procent badanych. Z drugiej strony kobiety częściej niż mężczyźni dostrzegają, że na wsi jest mniejszy wybór szkół i zajęć dla dzieci, mniej możliwości związanych z pracą, sklepami, kulturą czy edukacją. Czyli cała ta różnorodność, którą mamy w mieście,

jest trudniej dostępna. Mężczyźni trochę częściej widzą wieś przez pryzmat bezpieczeństwa i spokojnego życia.

Jeśli 66 procent badanych uważa życie na wsi za atrakcyjne, to ono jest atrakcyjne do czego? Do mieszkania? Do codziennego życia?

Do życia, do codziennego funkcjonowania. Ale w tej atrakcyjności objawia się przede wszystkim tęsknota za odpoczynkiem, za odskocznią od zabieganego życia. Tylko że często to jest dobre na chwilę. Bo zaraz wracamy do naszego pędu. W intensywnym życiu zawodowym wieś mogłaby nam się szybko znudzić. Może takie życie jest dobre, kiedy jesteśmy na emeryturze, ale gdy jesteśmy wciągający

w pracę, to już nie jest takie oczywiste.

Ciekawa jestem, czy zmieniło się nasze myślenie o wsi?

Zmieniło się o tyle, że kiedyś była może tęsknota za dworkiem szlacheckim. W latach 90., kiedy na wsiach budowano wille, była w tym aspiracja do klasy wyższej albo wyższej średniej. Teraz to jest raczej tęsknota za prostym życiem. Takim, w którym wracamy do relacji z sąsiadami, do lokalnych kontaktów ze sprzedawcami. To jest tęsknota za bliskością, za dzieciństwem. W dużej mierze jesteśmy jednak społeczeństwem chłopskim. Wielu z nas pochodzi ze wsi.

Mieszkałam na wsi w dzieciństwie, dojeżdżałam

do szkoły w miasteczku, dzieciaki nazywały mnie „wieśniarą”. Wtedy marzeniem było, żeby ze wsi uciec do miasta. Dziś coraz częściej fantazjuje się o ucieczce na wieś. Co się stało?

Ten powrót na wieś czy ucieczka na wieś nie oznacza już tego samego, co dziesięć czy dwadzieścia lat temu, gdy mówiło się: rzucę wszystko i wyjadę w Bieszczady, będę wypasać owce i robić sery. Przekonaliśmy się, że to nie działa. Trzeba się z czegoś utrzymać. Sama wiem, że tam odzyskam spokój, jest bardzo romantyczna. Tymczasem, żeby móc fantazjować o powrocie na wieś, trzeba mieć kapitał ekonomiczny. Taki, który pozwoli pracować zdalnie z domku na wsi.

Skończył się pogardliwy język wobec wsi? Mówimy dziś o wsi z większym szacunkiem?

Myślę, że tak. Widzimy, jak wieś radzi sobie w trudnych warunkach, ale też ta wieś nie jest już „zabita dechami”. To nie jest taka wieś, o której mówiło się kiedyś z pogardą: że ktoś jest „wieśniarą”, że nie ubiera się tak, jak trzeba, że jest gorzej wyedukowany. Teraz mam to za sobą. Trzeba było wyżej stać na palcach, niż było to konieczne. Dzisiaj szanse bardziej się wyrównały: jest internet, można się uczyć, można się rozwijać. Myślę, że osoby ze wsi nie powinny mieć kompleksów.

Po pandemii wiele osób wróciło na ojcowiznę, bo nie porażało się z życiem w mie-

ście. Dla nich ten powrót miał smak porażki?

Tak, ten powrót może być przyznaniem się do tego, że się nie udało. Warszawa jest ekstremalna, życie tutaj jest drogie. Ci, którzy zmuszeni byli wrócić do mniejszych miejscowości, zobaczyli, że znajomi tam już się urządzili, mają pobudowane domy, rodziny, stabilną pracę, biznesy. A oni mają poczucie, że duże miasto ich wypluło.

Z drugiej strony pandemii pokazała, że praca zdalna może ułatwić mieszkanie na wsi.

Ale trzeba pamiętać jeszcze o czymś. Tam, na tej wsi, już żyją ludzie. Mają swój kapitał społeczny, swoje relacje, swoją strukturę, swoje historie i konflikty. Kiedy przyjeżdżamy z miasta, jesteśmy przybyszami. To nie jest tak, że pojawiają się z naszymi pomysłami i od razu zaczniemy reformować wieś. Raczej to my musimy się dopasować do tego, co tam już jest.

Akurat w weekend byłam u przyjaciół, którzy prowadzą na świętokrzyskiej wsi agroturystykę. Funkcjonują tam od 20 lat i powiedzieli mi, że dla miejscowych nadal są obcy.

Tak, bo obcym się nie ufa. To nie jest twoja ojcowizna. Chyba że wracasz na przykład na Warmię, do domu rodziców. Wtedy jesteś Anitą, która wróciła na ojcowiznę czy matczyną. Ale jeśli przyjeżdżasz z innego miejsca, bo kupiłaś siedlisko, musisz się z tą społecznością jakoś zdefiniować.

Co dzieje się z lokalnymi społecznościami, kiedy na wieś przyjeżdżają ludzie z dużych miast, z dużym kapitałem i zupełnie innymi oczekiwaniami? Przyjaciółka opowiadała mi, że próbowała skrzyknąć wieś, żeby zrobić coś razem, a spotkała się z reakcją: „O, przyjechała damulka z Warszawy i będzie nam mowią, co mamy robić”.

Bo to bywa odbierane jako poczucie: ja wiem lepiej. Może i mam większe kompetencje społeczne, może wiem, jak organizować warsztaty i jak aktywizować ludzi. Ale najlepsze działania dzieją się wtedy, kiedy wychodzą ze środka. Działam w stowarzyszeniu Liderki Innowacji. Tam są kobiety ze wsi: sołtycki, wójtki, kobiety, które przejęły ziemię czy gospodarstwo po rodzicach i je rewitalizowały. One pochodzą stamtąd. Jedna zajmuje się pszczołami, ojcowskimi i zrobiła z tego świetny biznes. Inne prowadzą gospodarstwa ekologiczne, różne lokalne inicjatywy. Spotykają się, dzielą wiedzą.

W różnych miejscach Polski, także w małych miejscowościach, pojawiają się też prywatne domy kultury. One przejmują to, czego często nie robią albo nie są w stanie zrobić instytucjonalne domy kultury: organizują koncerty, wystawy, zapraszają ciekawych ludzi. I bardzo często są to inicjatywy osób, które przyjechały na wieś, coś kupiły i zaczęły działać.

Ale to wymaga ogromnego wyczucia. Łatwo wejść w wieś z miejskim przekonaniem: my was teraz nauczymy życia. Trzeba uważać, żeby to nie było odebrane tak, jakby ktoś wchodził do czyjegoś domu w zabłoconych butach i mówił gospodarzom, jak mają żyć.

Co najbardziej drażni miejscowych w nowych przyjeźdźcach?

Wprowadzanie swoich porządków. Nieliczenie się z tym, co jest na miejscu. Albo przeciwnie: całkowite izolowanie się. Ktoś przyjeżdża, ma swój domek, z nikim nie rozmawia i nie chce wejść w żadną relację. A to nie jest tak, że miejscowi są zamurowani i nie można z nimi nawiązać kontaktu. Tylko to przyjeźdźni muszą się bardziej postarać niż odwrotnie.

Wiem, jak wygląda prawdziwa wieś. Nie zawsze pięknie pachnie, zwłaszcza kiedy trzeba na polu roztrząsać gnój. Drogami jeżdżą ciężkie traktory, w żniwa pracują kombajny, jest kurz, hałas, są muchy, szczury i myszy. To nie jest wieś ze zbiorowej wyobraźni mieszczuchów.

Tak, bo częściej pojawia się obraz cichej, spokojnej wsi z domkiem pod lasem, gdzie pod płot podchodzą sarny, które można karmić. A sytuacja, o których mówisz: gnój, kombajny, traktory, kogut piejący o piątej rano albo psy szczekające do nocy, to jest zderzenie z rzeczywistością. Na grupach na Facebooku można przeczytać, że ludzie, którzy przenieśli się na wieś, zmagają się z różnymi tego rodzaju dylematami. Piszą: do której godziny może szczekać pies? Do której może jeździć traktor? Co ze śmiećkami? Nagle okazuje się, że nie ma spokoju. Wieś żyje rytmem pół roku, prac polowych i tego, co musi być zrobione. I wtedy pojawia się szok. Przyjeźdźni próbują wprowadzać na wieś miejski porządek, wprost z zamkniętych osiedli, gdzie po godzinie 18 nie chodzi się trawnika, o 22 jest cisza

W MAŁYCH MIEJSCOWOŚCIACH WSZYSCY O SOBIE WSZYSTKO WIEDZĄ. MOŻE I SĄSIAD MIJA NAS BEZ SŁOWA, ALE NASZE ŻYCIE JEST OMAWIANE OD A DO Z

nocna, więc nie wbija się gwoździ ani nie włącza pralki o szóstej rano. Chcielibyśmy to przenieść na wieś, ale tak się nie da. Znajoma mieszkanka wsi dostała karteczkę od przyjeźdźnej sąsiadki, żeby jej pies tak nie biegał i nie szczekał. Wrzuciła pytanie na grupę. Uczestnicy podzielili się na dwa obozy. Wybuchła wojna. Jedni mówili: jeśli przenosisz się na wieś, musisz liczyć się z tym, że tam jest inny rytm. Drudzy odpowiadali: ale my tu potrzebujemy spokoju.

Czyli w tej nowej opowieści o countryside era nie ma miejsca na obornik, pracę o świcie i konflikty sąsiedzkie?

Myszę, że w tej wyobrażonej „countryside era” ludzie często nie chcą o tym pamiętać. Bo gdyby pamiętali, to mogliby pomyśleć: a może jednak nie odzyskamy tam takiego spokoju, jakiego szukamy.

Czego zwykle nie ma na tej wymarzonej, instagramowej wsi?

No właśnie na pewno nie zawsze będzie spokój. Nie zawsze będą ładne zapachy. Nie ma ryneczku. Są te same problemy, które mamy w dużym mieście, a dodatkowo nie ma anonimowości. W małych miejscowościach wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Może i sąsiad mijają nas bez słowa, ale w swojej grupie, na przyzbie, nasze życie jest omawiane od A do Z.

Można też zapytać o to, co miasto robi z ludźmi, skoro to we wsi zaczęli upatrywać rątku.

Miasto zrobiło z nas zapracowanych ludzi, ogarniaczy. W pewnym momencie słowo „ogarniaczka” stało się powodem do dumy. To miało znaczyć, że jestem osobą, która panuje nad całym swoim życiem. Ale to jest złudne, bo w istocie jesteśmy zmęczeni, przebodźcowani, kładziemy się spać i myślimy, że jutro znowu trzeba iść do pracy. Sami sobie zrobiliśmy taki kierat. Stąd z romantycznym rozmarzeniem myślimy o spokojnej wsi.

Czy Polacy naprawdę chcą wsi, czy raczej chcą uciec od miasta?

Myszę, że tęsknimy za wspólnotą. Za tym, żeby móc znowu pójść do sąsiada po szklankę mleka albo pożywić szklankę cukru. Za nor-

malnymi, prawdziwymi relacjami. Media społecznościowe zrobiły swoje: mamy kontakt z wieloma ludźmi, a często nie znamy własnych sąsiadów. Ten kontakt bywa iluzoryczny. Ale ja bardzo lubię ulicę, przy której mieszkam. Rzadko chodzę do Biedronki, bo mam pana w warzywniaku, który powie mi: „Dziś nie bierz truskawek, bo są wczorajsze”. Mam panią w mięsny, która zapyta: „Odłożyć pani pierś z kurczaka? Bo wiem, że kupowała pani tydzień temu”. To są normalne, sąsiedzkie, prawdziwe więzi.

Jak bardzo Instagram, TikTok, seriale i język reklamy wpłynęły na obraz wsi w głowach mieszkańców miast?

Erving Goffman, jeden z moich ulubionych socjologów, pisał w „Człowieku w teatrze życia codziennego”, że nasze życie dzieli się na scenę i kulisy. Odgrywamy różne role. To, co widzimy na Instagramie u osób, które być może znalazły cichą przystań na wsi, jest sceną. To odgrywany i wyobrażony obraz wsi. Kulisy nie pokazujemy: trudu, ciężkiej pracy, wstawania o świcie, rytmu żniw i innych prac polowych. Kiedy opowiadam swoim dzieciom, że w ósmej klasie jeździliśmy ze szkołą na wykopki, one kompletnie nie mają pojęcia, co to jest. A ja pamiętam, że kiedy człowiek był zżymczony, najlepiej smakowała bułka z żółtym serem i kawa Inka.

Z waszego badania wynika, że romans ze wsią może się udać, jeśli jest samochód. Dlaczego on jest tak ważny?

Największa słabość wsi, co widać z tego badania, to trudniejszy dostęp do pracy i słaby transport. Wykluczenie transportowe jest rzeczywistym problemem. Likwidowane są linie autobusowe, nie ma lokalnych pociągów. Ludzie są zdani na siebie albo na sąsiada z samochodem, który podrzuci do fryzjera, dentysty, lekarza. Powinniśmy głośno mówić o wykluczeniu komunikacyjnym, bo ono utrudnia życie nie tylko starszym osobom, ale też dzieciom i młodzieży. Trzeba też pomyśleć o starszych osobach: jak mogą mieć spokój, ciszę i bezpieczeństwo, a jednocześnie nie zostać sami.

Jak wygląda codzienność nastolatków, seniorów, samotnych matek, osób chorych na wsi?

Dla nastolatków problemem jest sposób spędzania wolnego czasu. Kiedy robiliśmy badanie młodych ludzi, okazało się, że punktem kulturalnym nie był dom kultury, ale przystanek autobusowy. Pytanie o wykluczenie trans-

portowe jest ważne, bo decyduje o pracy, edukacji, zdrowiu i relacjach. Tylko że polska wieś zmieniła się strukturalnie. Rolnicy są wspierani przez dotacje unijne, mają lepsze domy, lepsze warunki, mają samochody. Stąd to myślenie, że jakoś sobie poradzą.

Co z samotnością, która jest plagą naszych czasów? Jeśli na wsi wszyscy się znają, co ta samotność oznacza?

Myszę, że samotność może dotyczyć szczególnie osób starszych, których dzieci wyjechały do miasta. Również wdów, osób niedomagających, ludzi, którzy mają daleko do lekarza. To temat wart osobnego przebadania. Osoby w wieku 30, 40, 50, a nawet 60 lat są jeszcze mobilne. Ale starsi ludzie, którzy mają problemy ze zdrowiem, mogą bardzo cierpieć z powodu samotności. Internet tego nie załatwi.

Spotkałam się z historiami, kiedy ludzie, którzy kilkanaście lat temu rzucili wszystko i wyjechali w góry, żeby prowadzić pensjonat, dziś jako seniorzy wracają do miasta, bo chcą mieć lekarza na miejscu.

Miasto to jednak udogodnienie. Możesz zamówić lodówkę przez internet i ktoś ci ją przywiezie. Ale chodzi też o dostęp do osób i usług, które na starość stają się potrzebne. Myszę, że w przypadku starszych osób na wsi rozgrywa się wiele dramatów.

Kogo dzisiaj stać na dobre życie na wsi?

Myszę, że trzeba mieć pieniądze albo taką pracę, która pozwala na zdalną. Trzeba mieć samochód, możliwość dojeżdżania raz na jakiś czas do dużego miasta, gdzie są klienci, spotkania, sprawy do załatwienia, projekty. To polega na takim trochę lepszym sobie życia. Pojawiają się pytania: co będzie, kiedy dzieci dorosną? Czy zostaną na tej wsi? Czy będą chciały do liceum w Warszawie? Trzeba też zobaczyć różnicę między osobami, które mają dobrą pensję, pracę zdalną i dwa samochody, a tymi, którzy dojeżdżają komunikacją do pracy za najniższą krajową. To są dwa różne światy.

Wieś stała się dziś luksusem klasy średniej?

Stała się symbolem poukładania sobie życia w taki sposób, żeby złapać równowagę między pogonią przypisaną do dużego miasta a prywatnością. Kończąc pracę, wychodzę do ogrodu, idę z psami na spacer. Mam poczucie, że zachowuję równowagę między życiem zawodowym i prywatnym.

Zmieniła się definicja komfortu? Kiedyś komfort oznaczał bliskość sklepów, szkół, usług. Dziś komfortem jest natura, przestrzeń, spokój i cisza?

Myszę, że komfortem stał się nasz dobrostan. To, że nikt nie przekracza naszych granic, nie mówi nam, jak żyć, nie dyktuje, nie daje rad. Jesteśmy w stanie zapewnić sobie komfort racjonalny, jeśli oczywiście mamy środki. Na wielu wsiach są paczkomaty, sklepy, apteki, dyskonty. Dostęp do towarów nie jest już tak trudny. Czasem na wsi masz lepsze produkty niż w Warszawie; w mieście dostaniesz je tylko w superdelikatesach czy na targach śniadaniowych.

Który wynik tego badania najbardziej ci poruszył?

To, że tylko 24 procent badanych uważa, że wieś oznacza bezpieczeństwo. Wydawało mi się, że wieś jest postrzegana jako bezpieczniejsza niż miasto. Z innych badań wiem, że w mieście boimy się na przykład samotnego mężczyzny idącego pustą ulicą, szczególnie nocą. A tu okazuje się, że na wsi też mogą być lęki. Pytanie, jakie to lęki. Czy związane z tym, że dom jest pod lasem i ktoś może się włamać? Czy z tym, że jestem sam, coś mi się stanie i co wtedy z lekarzem? A jeśli jest zima, zawieją, daleko do drogi? To są konkretne pytania.

Podsumowując: Polacy zachcieli się w takiej wsi, która wydaje się dla nich trochę Toskanią. Można fantazjować o prostym życiu, ale pod warunkiem, że ma się pieniądze?

Trzeba mieć pieniądze, trzeba mieć kapitał ekonomiczny. Ale trzeba też pamiętać, że trafiamy w miejsce, w którym jest już zbudowany kapitał społeczny. Tam jest społeczność, z którą musimy się zmierzyć. I albo się z nią zasymlujemy, albo cały czas będziemy tak naprawdę osobą obcą, turystą.

CV



Katarzyna Krzywicka-Zdunek
Socjolożka, badaczka jakościowa. Współwórczyni projektów o polskich kobietach i mężczyznach oraz platformy internetowej socjolożki.pl

POMÓŻ SPEŁNIĆ MARZENIA DZIECI O WAKACJACH

– „Pociąg Marzeń” to wagoniki miłości do człowieka – mówiła nam Beata Drzazga, przedsiębiorczyni, która od lat wspiera naszą inicjatywę. Tradycyjnie, u progu wakacji, Polska Press Grupa rusza z kolejną jej edycją. Lokomotywa czeka już na stacji, teraz czas na doczepienie składu. To, jak długi i pojemny będzie to pociąg, zależy od Was, drodzy darczyńcy, przedsiębiorcy i partnerzy. Liczymy, że i tym razem do nas dołączycie. Dziecięce marzenia czekają na spełnienie!

Anna Wańczko

Można marzyć o wakacjach w tropikach i można marzyć... by w ogóle mieć wakacje. Choć raz. Tak właśnie wyglądają marzenia dzieci, które na co dzień zmagają się z wieloma trudnościami, ponieważ ich rodzin nie stać na żadne wyjazdy, a codzienność to mury szpitala, domu dziecka lub hospicjum. Są podopiecznymi fundacji, stowarzyszeń, nie rozpieszczą ich życie. To z myślą o nich powstał „Pociąg Marzeń” - akcja, dzięki której setki dzieci pierwszy raz zobaczyły morze, góry, a nawet wyjechały za granicę. Ale wyjazdy to nie wszystko, w ramach inicjatywy finansowane są dla nich również turnusy rehabilitacyjne, terapeutyczne, sprzęt sportowy i medyczny, a także niezbędne leki.

Jako organizatorzy tego przedsięwzięcia dokładnie sprawdzamy, komu przekazywane są zebrane środki.

– Nasze serwisy i tytuły regionalne od lat wspierają inicjatywy fundacji i stowarzyszeń. Po raz kolejny, wspólnie z naszymi partnerami biznesowymi, będziemy mogli pomóc w realizacji marzeń - mówi Zenon Nowak, prezes Zarządu Polska Press Grupy.

Nim ruszy maszyna...

Założenie akcji jest proste. Pociąg potrzebuje jak największej liczby wagoników. Bo im jest ich więcej, tym większej liczbie potrzebujących dzieci będziemy mogli pomóc. Wagoniki to cegiełki przekazywane przez firmy, przedsiębiorców i darczyńców decydujących się wesprzeć akcję. W ramach podziękowania na wykupionym przez Państwa wagoniku umieszczamy logotyp Waszej firmy. Gdy pociąg ruszy ze stacji, symbolicznie przejeżdża przez całą Polskę, a wraz z nim oznaczony Waszym logiem wagonik. Logo pojawia się na łamach dzienników regionalnych oraz lokalnych serwisów internetowych należących do Polska Press Grupy, dzięki czemu jest widoczne dla milionów naszych czytelników. To nie tylko ukłon w stronę darczyńców, ale także zachęta dla innych przedsiębiorców, by dołączali do tego łańcucha dobra.

Gdy pociąg staje na stacji końcowej, przychodzi czas na podliczenie zebranej kwoty i przekazanie środków na rzecz współpracujących z nami fundacji i stowarzyszeń. A co dzieje się dalej?

Chwile szczęścia, które zostają w pamięci

Za nami organizacja wielu edycji „Pociągu Marzeń”, które przyniosły ponad 3 miliony złotych na rzecz działań realizowanych przez fundacje i stowarzyszenia wspierające dzieci. To setki wysłanych na wakacje młodszymi i starszymi potrzebujących, setki uśmiechów, chwil



Podopieczni gdańskiej Fundacji Hospicyjnej podczas wyjazdu na Mierzeję Wiślaną. Wakacje w Jantarze były wyjątkowe, uczestnicy zapamiętują je na długo

beztroski, oderwania od codzienności i przede wszystkim wspomnień. To także piękne i nierzadko wzruszające relacje z wyjazdów opowiadane nam przez opiekunów, wolontariuszy, a także same dzieci.

Bo jak tu się nie wzruszać, kiedy od jednej z podopiecznych Domu Dziecka w Mikołowie usłyszeliśmy: Zawsze marzyłam o wyjeździe do parku wodnego, a tu jeszcze mieliśmy okazję pójść do Orientarium! To był najfajniejszy dzień w moim życiu! - relacjonowała swoje odczucia po wycieczce do Łodzi. Z kolei jej koleżka, który miał okazję odwiedzić Katowice i Sosnowiec, najbardziej zapadły w pamięci gokarty. - Były na-

prawdę szybkie! A po wszystkim mogliśmy zjeść hamburgery i frytki w amerykańskim stylu - opowiadał z przejęciem. Pomyślicie może: Tak niewiele? Otóż to niewiele to spełnienie małych marzeń przede wszystkim o tym, by poczuć wakacyjną beztroskę, która przecież powinna być dana każdemu dziecku bez wyjątku.

Nie tylko polskie miasta pojawiają się na wakacyjnych trasach „Pociągu Marzeń”. Podopieczni Centrum Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych „Parkowa” w Krakowie wyjechali na greckie Korfu, gdzie cieszyli się wakacjami all inclusive. - Na co dzień nie mają wpływu na to, co jedzą, a tam mogli wy-

bierać do woli to, na co akurat mają ochotę. Przeżyciem dla nich była kolacja a la carte, na którą musieli się ładnie ubrać - wspominał jedną z wycieczek Jarosław Chodorowski, dyrektor krakowskiego Centrum „Parkowa”. Rok później podopieczni „Parkowej” wyjechali do Bułgarii i Turcji.

Na wyjazdowej liście znalazła się również Szwecja. Adam, wychowanek Domu Dziecka w Orzeszu, tak opowiadał o swojej podróży: To była niesamowita przygoda! Nigdy nie pomyślałem, że będę miał okazję zwiedzić Szwecję. Wspaniałe widoki, zabawy na promie, a do tego świetna kuchnia! Bardzo dziękuję za ten wyjazd!

Gdy jedni zwiedzali i cieszyli się relaksem, inni doświadczali wręcz ekstremalnych emocji podczas obozów survivalowych, skacząc ze spadochronem. Czy wszyscy się zdecydowali? Oczywiście! A do tego uczyli się sztuk walki, robienia szafasów i pomocy w nagłych wypadkach.

Szansa na terapię, naukę i rozmowę

Środki zebrane podczas akcji „Pociąg Marzeń” pomagają również w organizacji turnusów rehabilitacyjnych i terapeutycznych. Podczas takich wyjazdów dzieci ze szczególnymi potrzebami uczą się samodzielności. - Dzięki wsparciu mogliśmy pojechać na Kaszuby, do Krzesznej. To był prawdziwy trening życia. Nasi wychowankowie sami przygotowywali posiłki, planowali dzień, dbali o porządek. Wspólnie spędzali czas, bawili się, ale też uczyli się współpracy i odpowiedzialności - relacjonowała jeden z takich wyjazdów Magdalena Dawidowska z gdańskiej Fundacji Ja Też.

W niektóre podróże dzieci wyjeżdżają ze swoimi mamami. Dla nich również wyjazd bywa chwilą oddechu od codziennego trudu opieki. - Dzieci miały zabawy z animatorami, co drugi dzień dyskotekę, przygotowaliśmy teatrzyk. Najważniejsze jest to, że wróciły radosne, a my wypoczęte. Mogłyśmy też wreszcie spokojnie, bez wiecznego pośpiechu, porozmawiać ze sobą - słyszemy od jednej z mam, która z wdzięcznością przyjęła ten czas resetu od codzienności.

Są także wyjazdy, których głównym celem jest obserwacja rodzin oraz wspieranie ich umiejętności wychowawczych i opiekuńczych. To czas modelowania sposobu wypoczynku i spędzania wspólnego czasu z dziećmi - bez rozpraszcaczy takich jak telewizor, komputer czy telefon komórkowy. - To przekleństwo, często odbiera-

jące bliskim możliwość żywej komunikacji między sobą - zaznacza Krzysztof Paliński, prezes białostockiego Stowarzyszenia Pomocy Rodzinie „Droga”. - Po wyjeździe rodziny deklarowały, że wiele z wypracowanych tam sposobów komunikowania się i spędzania czasu chcą przenieść na grunt normalnego, codziennego życia - dodaje.

W czasie obozów organizowane są różnego rodzaju warsztaty, sesje terapeutyczne, pomoc psychologiczna, grupy wsparcia. Opiekunowie i wolontariusze kładą nacisk nie tylko na rytmikę i szaleństwo, ale także na edukację i rozmowę.

Para buch! Koła w ruch!

Na koniec - wspólnym mianownikiem wszystkich tych wyjazdów jest uśmiech. Uśmiech dziecka, które właśnie spełniło swoje marzenie. Uśmiech dziecka, które poczuło, że życie może wyglądać inaczej, które na moment zapomniało o troskach, bólu, poczuło się ważne, zauważone i poznało smak przygody. Ten uśmiech to dla nas, a wiemy z relacji, że i dla Was, drodzy darczyńcy, najlepsza nagroda i podziękowanie. To dowód, że warto co roku rozgrzewać lokomotywę, stawiając ją na tory i czekać, aż kolejne wagoniki zostaną dołączone.

- Warto pomagać, bo dobro wraca. Może to utarte hasło, ale tak jest. Wszystko, co dajemy innym, wraca do nas, choćby jako uśmiech dzieci. W życiu nie ma nic piękniejszego niż radość drugiego człowieka - te słowa Jarosława Gryckiewicza, prezesa kujawsko-pomorskiej Fundacji Pomocy Społecznej „Okruszek Szczęścia”, są najpiękniejszym podsumowaniem tego, co przyświecało i nadal przyświeca nam podczas organizowania kolejnych „Pociągów Marzeń”. Dlatego czekamy i gorąco zachęcamy, byście do nas dołączyli. Stańcie się częścią dobra, które realnie zmienia życie wielu osób.

PARTNERZY POLSKA PRESS GRUPY

Lista organizacji, którym pomagać będziemy w tej edycji „Pociągu Marzeń”:

- Śląskie – Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom i Młodzieży „Dom Aniołów Stróżów”.
- Lubelskie – Fundacja Strefa Dorastania.
- Dolnośląskie – Fundacja Jagoda im. Jagody Pachota.
- Lubuskie – Stowarzyszenie Nasze Dzieci.
- Wielkopolskie – Fundacja Pomocy Dzieciom Tak Po Prostu.
- Kujawsko-Pomorskie – Fundacja Pomocy Społecznej „Okruszek Szczęścia”.
- Małopolskie – Stowarzyszenie SIEMACHA.
- Podkarpackie – Fundacja Podkarpackie Hospicjum dla Dzieci.
- Świętokrzyskie – Polskie Stowarzyszenie na rzecz Osób z Niepełnosprawnością Intelktualną Koło.
- Łódzkie – Fundacja Gajusz.
- Mazowieckie – Stowarzyszenie Pomocy Rodzinom.
- Podlaskie – Fundacja Pomóż IM.
- Zachodniopomorskie – Zachodniopomorska Fundacja Pomocy Rodzinie „Tęcza Serc”.
- Pomorskie – Fundacja na Rzecz Osób Niewidomych i Niepełnosprawnych Pomóż i Ty.

W GDAŃSKU O NIEZACHWIANYM WSPARCIU EUROPY DLA UKRAINY

– W Gdańsku widać cud odbudowy - miasto powstało z ruin po II wojnie światowej. Ma też swojego ducha, który dał Polsce, Europie i światu Solidarność. To samo czeka teraz Ukrainę – powiedział premier Donald Tusk, rozpoczynając Ukraine Recovery Conference w Gdańsku. – Drodzy Polacy, w mieście Solidarności i Wolności dziękuję za wasze wsparcie dla nas – mówiła z kolei premier Ukrainy, Julia Swyrydenko. W strategicznych rozmowach o odbudowie Ukrainy w Gdańsku bierze udział 5 tysięcy uczestników – polityków i przedstawicieli biznesu z Europy i całego świata

Tomasz Chudzyński

WGdańsku trwają strategiczne rozmowy o odbudowie Ukrainy. Na Ukraine Recovery Conference przybyło niemal sto delegacji, w tym przedstawiciele międzynarodowych organizacji finansowych, firm przemysłowych oraz najwyższego szczebla politycznego. Potwierdziły się słowa Pawła Kowala, który jeszcze przed URC reklamował to wydarzenie jako jedno z największych wydarzeń gospodarczych świata w tym roku.

Zaniechanie jest bardziej kosztowne

Początek konferencji przyniósł deklarację dalszego, europejskiego wsparcia dla Ukrainy. O uruchomieniu kolejnych transz finansowych mówili w Gdańsku szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, Antonio Costa, przewodniczący Rady Europejskiej, prezydent Litwy Gitanas Nausėda, kanclerz Niemiec Friedrich Merz czy prezes Banku Światowego Ajay Banga. Mowa jest o miliardach euro - na infrastrukturę energetyczną, transportową, ale też innowacyjne technologie zbrojeniowe.

- Pomagamy Ukrainie już teraz, bo koszt zaniechania finalnie jest zawsze wyższy niż działania natychmiastowe. Dlatego nie możemy czekać z odbudową na koniec wojny. Budujemy szkoły, elektrownie fotowoltaiczne, chcemy wzmacniać samorządy - mówi Gitanas Nausėda, prezydent Litwy.

- Ukraińskie doświadczenie z pola walki jest bezcenne. Przemysł zbrojeniowy jest najbardziej innowacyjny na świecie. Potrzebujemy ukraińskiej innowacyjności, europejskiej technologii i sprawności - podkreśla Ursula von der Leyen, zapowiadając wspólną produkcję dronów i rakiet.

- Rosja nie wygra tej wojny. Wsparcie europejskie dla Ukra-

iny jest niezachwiane - dodawał Friedrich Merz.

Obecność naszego biznesu

Zaznaczymy, w odbudowę Ukrainy zaangażowany ma być europejski, w tym polski biznes. Dziś podpisano część umów gospodarczych między firmami z Polski i Ukrainy oraz instytucjami obu państw. Chodzi o zaangażowanie firm w odbudowę sektora energetycznego naszego wschodniego sąsiada, jego infrastruktury drogowej, kolejowej czy portów. M.in. umowę o zaangażowaniu w proces odbudowy podpisali ze swoimi odpowiednikami w Ukrainie przedstawiciele ORLEN-u, PGE, Tauronu, w obecności szefa MAP, Wojciecha Balczona.

Do tego dochodzą kwestie wymiany handlowej.

- Wymiar gospodarczy Konferencji jest kluczowy - wielu polskich przedsiębiorców jest zaangażowanych już teraz w Ukrainie, a jest zainteresowana rozwojem tej współpracy, w tym udziałem w inwestycjach po zakończeniu działań zbrojnych - mówiła Eliza Zeidler, wiceszefowa ministerstwa aktywów państwowych, koordynatorka przygotowań URC 2026 po stronie polskiej.

- Mówimy o setkach miliardów dolarów i to nie są polskie pieniądze, tylko to będą pieniądze do wydania także przez polskie firmy w Ukrainie po zakończeniu wojny - zapowiadał premier RP, Donald Tusk.

Część debat jest poświęcona reformom, jakie państwo ukraińskie musiały przejść w jego drodze do Unii Europejskiej. Mowa ma być również o odbudowie społeczności Ukrainy, w tym ludnościowej, poranionej w czasie rosyjskiej agresji. Mowa jest m.in. o wsparciu medycznym, psychologicznym, dla weteranów wojennych i ich bliskich.



Premier Ukrainy Julia Swyrydenko oraz premier Donald Tusk wspólnie otworzyli konferencję w Gdańsku

Nowością, w porównaniu do poprzednich edycji URC, są rozmowy o sektorze obronnym. Ukraiński przemysł zbrojeniowy ma się tu czym chwalić - jego technologie dronowe czy rakietowe przechodzą od miesięcy test w realiach prawdziwej wojny i są bardzo skuteczne. Podpisane zostały umowy między polskimi i ukraińskimi firmami dotyczące właśnie tej dziedziny.

Podczas konferencji odbywa się także szczyt flanki wschodniej NATO z udziałem liderów Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Szwecji i Rumunii. Premier Tusk podkreślił, że przywiązuje do tych rozmów dużą wagę, licząc na wzmocnienie współpracy w regionie.

- Na wschodniej flance NATO nie może być słabego ogniwa. Wydajemy coraz więcej na obronność, uczymy się walki, rozwijamy nową broń, w tym broń elektromagnetyczną - podkreślał premier Łotwy, Andris Kūrborgs i zapowiedział też konieczność wykorzystania zamrożonych środków rosyjskich na cel odbudowy Ukrainy.

Solidarność i odwaga

Padło dużo słów o solidarności, były też wyrazy wdzięczności dla Polek i Polaków za ich wsparcie dla Ukrainy.

- Jesteśmy wam wdzięczni, drodzy Polacy, za wasze wsparcie dla nas, za chęć budowy wspólnej przyszłości - mówiła Julia Swyrydenko, premier Ukrainy. - Jesteśmy w mieście Solidarności i Wolności. Solidarność wymaga odwagi, wy ją okazaliście.

- To Ukraina musi definiować warunki sprawiedliwego pokoju. Nikt nie może za nią zdecydować. UE będzie wspierać przyszłość Ukrainy, bo nasza wizja wychodzi poza ramy wojny. Dziś kładziemy fundamenty pod odbudowaną Ukrainę - mówił Antonio Costa.

- Wasza obecność w moim rodzinnym Gdańsku to dowód na to, że Solidarność nie jest tylko sloganem, a stanowi treść naszej dzisiejszej misji - zjednoczenia wolnego świata. W Gdańsku widać cud odbudowy - miasto powstało z ruin po II wojnie światowej. Ma też swojego ducha, który dał Polsce, Europie i światu Solidarność. To samo czeka teraz Ukrainę - mówił Donald Tusk.

Symbol gdańskiego stadionu

Donald Tusk jeszcze w środę zapowiadał, że powie na URC w Gdańsku kilka twardych słów w kontekście kryzysu, który w ostatnich tygodniach dotknął polsko-ukraińskich relacji. Niewątpliwie termin URC zbliżał się w cieniu ochłodzenia naszych stosunków z Ukraińcami.

- Będzie okazja, żeby parę mocnych i gorzkich słów powiedzieć pod adresem nieadekwatnie reagujących polityków na różnice wynikające z trudnej historii. Będę też to chciał bardzo otwarcie powiedzieć w obecności pani premier Ukrainy - zapowiadał premier RP.

- Odbudowa to nie tylko budynki, ale też to, co jest w nas. Zjednoczenie musi opierać się na prawdzie. Musimy odnaleźć się w tych trudnych czasach. Mówię to do swoich rodaków w Polsce i do Twoich rodaków w Ukrainie, Julio - mówił Tusk. Na koniec cytował Niemena: „Ludzi dobrej woli jest więcej”.

To ochłodzenie w czasie gdańskiego URC wydawało się mniejsze niż w ostatnich dniach. Miasto przywitało de-

legacje uczestniczące w Ukraine Recovery Conference słoneczną, upalną pogodą i flagami państw - uczestników międzynarodowego spotkania. Za sprawą specjalnych środków bezpieczeństwa czuć było w Gdańsku atmosferę naprawdę „dużego” wydarzenia, ale wyczuwalna była również i atmosfera optymizmu. I nie chodziło jedynie o uśmiechniętych wolontariuszy obsługujących Konferencję.

- Wojna się skończy, myślę że dobrze dla Ukrainy i dla Europy - mówiły ukraińskie wolontariuszki pracujące w Europejskim Centrum Solidarności przy obsłudze wydarzenia. - Wiele będzie trzeba odbudować, ale to też się uda.

Serdeczne było śródowe przywitanie polskiej i ukraińskiej delegacji parlamentarnych ze Zgromadzenia Parlamentarnego Rzeczypospolitej Polskiej i Ukrainy, a także wzajemne rozmowy polityków już w czasie URC.

- Kiedy wybierałem się do Gdańska, czuć było napięcie w relacjach polsko-ukraińskich. Ale przypomniała mi się piosenka zespołu Quenn „Friends will be friends”. Tak będzie i teraz. Dzięki m.in. naszym kontaktom z parlamentarzystami, także ukraińskimi. Chodzi o budowę mostów, inwestowanie w wieloletnie relacje. Liderzy polityczni przychodzą i odchodzą, a takie relacje pozostają - mówił europoseł Michał Szczerba.

- Jest w tym spotkaniu pewna symbolika. Stadion w Gdańsku, na którego terenie m.in. odbywa się Konferencja, został wybudowany na wspólne, polsko-ukraińskie Euro 2012. Stadion w Gdańsku działa i się rozwija. Inaczej jest z wieloma stadionami na Ukrainie, które na tamtą imprezę powstały. Zrobimy wszystko, by je odbudować - powiedziała posłanka Agnieszka Pomaska.

PAWEŁ KOWAL O RELACJACH Z UKRAINĄ: W GOSPODARCE IDZIEMY DO PRZODU, ALE W HISTORII DŁUGO NIE ZNAJDZIEMY ZGODY

„Historia jest ważna dla tożsamości, ale nie może zablokować przyszłości Polski i Ukrainy”. Paweł Kowal mówi o Konferencji Odbudowy Ukrainy w Gdańsku, o Wołyniu, ekshumacjach i o tym, dlaczego pamięć nie może być wymierzona przeciwko przyszłości

Anita Czupryń

Po co Polsce Konferencja Odbudowy Ukrainy w Gdańsku? Co konkretnie ma z niej wynikać i co może się wydarzyć w dniach 25-26 czerwca?

Formuła tej konferencji jest taka: politycy pracują nad pokojem, a równolegle biznes planuje odbudowę. Konferencje URC Ukraina corocznie organizuje wspólnie z krajem goszczącym, w tym wypadku z Polską. Zaproszenia podpisywali polski premier i prezydent Ukrainy. Ukraina jest współgospodarzem tego wydarzenia. Praktycznie przez cały czas trwania obrad będą jeden po drugim podpisywane dokumenty. W trakcie zapowiedziano podpisanie około 200 porozumień i umów dotyczących współpracy ekonomicznej i roli poszczególnych państw w odbudowie Ukrainy. Przynajmniej w kilkunastu z nich uczestniczy Polska. Wśród konferencji, które odbywały się dotąd na świecie, ta jest więc wyjątkowa ze względu na skalę i na gospodarczy kontekst, który jest jej istotą. Na czele ukraińskiej delegacji stanie premier Svyrydenko, „matka chrzestna” idei URC, która ją wymyśliła jeszcze przed Lugano. To nada konferencji bardziej gospodarczy, pragmatyczny charakter.

Polska ma własną strategię odbudowy Ukrainy?

Polska ma strategię opartą na trzech elementach. Pierwszy to rozwój eksportu. Mamy historycznie bardzo duży eksport na Ukrainę, wynoszący około 14 mld euro, czyli mniej więcej jedną trzecią całego

eksportu Unii Europejskiej na Ukrainę. Drugi filar naszego podejścia do odbudowy, ze względu na nasze położenie, to wszystko, co wiąże się z transportem i łącznością. Słyszę o szykujących się nowych projektach w tej dziedzinie. Trzeci ważny element to inwestycje. Idą one różnymi drogami. Główny program to Ukraine Facility, czyli Instrument na rzecz Ukrainy, który polega na dostarczaniu odpowiednich instrumentów finansowych tym, którzy chcą brać udział w odbudowie Ukrainy. To są dobrze oprocentowane pożyczki, zabezpieczone przez Komisję Europejską i dodatkowo ubezpieczone. W tej chwili pierwsze kilkanaście polskich projektów jest już w trakcie przygotowania. Finansowanie długoterminowe, inwestycyjne, nawet do 15 lat. Kluczowe sektory, w których składane są projekty, to: energetyka, transport i logistyka, produkcja różnych materiałów. Doszły rozwiązania dual use, czyli takie z zastosowaniem w cywilu i dla wojska. Wielkość projektów, które możemy finansować, to od 1 do 50 mln euro. To są już poważne kredyty inwestycyjne, konkretne osiągnięcie rządu Donalda Tuska. Oprócz tego Polska wchodzi dziś na Ukrainę z dużymi inwestycjami; najbardziej znana jest inwestycja PZU, czyli budowanie pozycji jednego z liderów rynku ubezpieczeń na Ukrainie. Mamy szansę zyskać tam prawie milion klientów.

Kto ma być najważniejszym adresem tej konferencji?

Czy są to rządy, czy samorządy, czy ukraińskie firmy, polskie firmy? A może opinia publiczna, którą trzeba przekonać, że pomoc Ukrainie nie jest sprzeczna z polskim interesem?

Myślę, że ci, którzy patrzą na rzeczywistość przez pryzmat interesów, a nie tylko emocji, doskonale wiedzą, że teraz jest ten moment, kiedy zgromadzenie polskiego biznesu w Gdańsku, razem z przedstawicielami najważniejszych instytucji biznesowych świata, jest kluczowe dla przygotowania odbudowy. To pierwszy raz, kiedy ta konferencja odbywa się poza głównymi krajami Zachodu i G7. Pierwsza była w Lugano, potem w Londynie, Berlinie i Rzymie. Ta w Gdańsku jest piąta. Sam fakt, że odbywa się właśnie w Polsce, że Polska wchodzi do takiego grona - do elitarnego grona głównych sił gospodarczych w Europie - pokazuje naszą siłę w procesie przygotowania odbudowy.

Polscy przedsiębiorcy często mówią: chcemy pomagać, ale chcemy też zarabiać. Nie chcą jednak wchodzić tam, gdzie jest chaos, korupcja i ryzyko wojenne. Jak państwo może

im pomóc? No i jak zabezpieczyć polski interes, żebyśmy nie ponosili kosztów pomocy, a zyski do odbudowy nie trafiły do większych zachodnich graczy?

Doświadczenia są różne. Z jednej strony są bardzo dobre doświadczenia polskich firm, z drugiej są też przypadki trudne. Natomiast jestem pewien, że jeżeli ktoś korzysta ze środków z Ukraine Facility, to zwiększa szansę, że inwestycja będzie bezpieczna, także ze względu na fundamentalne dla tego programu gwarancje Komisji Europejskiej. To są pieniądze dobrze oprocentowane, dobrze zagwarantowane. Kiedy rozmawiałem z Adamem Góralem o roli polskiego biznesu w odbudowie Ukrainy, powiedział mi: „Nie przejmuj się, ty nie podejmiesz decyzji za przedsiębiorców”. Chodzi o to, że warunki, które mają polscy przedsiębiorcy, nie były gorsze niż te, które mają francuscy. Dzisiaj mogą powiedzieć, że rząd Donalda Tuska doprowadził do tego, że warunki dla polskich przedsiębiorców są takie same, a nawet lepsze niż dla przedsiębiorców zachodnich. Oprócz tego konferencja w Gdańsku przyniesie dodatkowy za-

strzyk środków na bezpieczne inwestycje w ramach programu, który nazywamy Funduszem Flagowym Unii Europejskiej. Ten flagship fund to dodatkowy instrument finansowy. To będą pieniądze na inwestycje przygotowane między innymi z naszej inicjatywy, z inicjatywy moich współpracowników. Będą miały charakter europejski, co oznacza, że są dodatkowo politycznie ubezpieczone. Finalizujemy już powstanie tego funduszu, który także będzie używany do projektów odbudowy Ukrainy.

Konferencja odbędzie się w momencie, gdy relacje polsko-ukraińskie są trudniejsze niż na początku wojny. Jak Pan widzi tę sytuację? Co się między nami popsuło?

Nasze relacje są dobre w wielu dziedzinach: w handlu, w przygotowaniach do odbudowy, także w niektórych technologiach dronowych, które Ukraińcy w dużym stopniu kupują również od nas, bo to działa w dwie strony. Jest jednak obszar, w którym się nie zgadzamy i w którym różnice są znaczące. To kwestie dotyczące interpretacji historii. Myślę, że czas na dojrzałość. Trzeba sobie powiedzieć, że w tych sprawach jeszcze długo, a może zawsze nie będziemy się zgadzać i będziemy mieć różne poglądy. Jeśli chodzi o historyczną ocenę konfliktu polsko-ukraińskiego czy ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na mieszkańcach ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, niełatwo znaj-

dziemy wspólne stanowisko. Dochodzi do nas, że to jest obszar, w którym zgody długo nie będzie. Trzeba pójść po rozum do głowy i zainwestować więcej we wspólne badania historyczne. W tym roku już zaczęliśmy, organizując pierwszy tak duży polsko-ukraiński kongres historyczny. Myślę, że także na Ukrainie powoli dojrzeje świadomość, że historia UPA nie jest historią, na której można zbudować mentalną łączność z państwami europejskimi. Podobne procesy przemyslenia własnej historii przeszły już praktycznie wszystkie państwa Europy Środkowej, od państw bałtyckich po Bałkany, gdzie poważnym problemem było zmaganie się z tradycją faszystowską, nacjonalistyczną czy z kolaboracją z Niemcami w czasie II wojny światowej. Wpływ zewnętrznych graczy, sąsiadów, na taką zmianę jest ograniczony. Może dotyczyć tylko tych elementów polityki historycznej, które są w rękach rządu, prezydenta czy wojska. Trudno wpływać na wszystkie decyzje samorządowe u sąsiada. Ale czas będzie tutaj działał na korzyść. Wspólne badania historyczne i dyskusja o faktycznej spuście UPA to proces, który wciąż jest przed nami. Ważne tylko, żeby dobrze podchodzić do konfliktów historycznych. Podobno sekretarz generalny ONZ powiedział kiedyś, że wiele państw ma większy problem z historią niż z przyszłością. Trzeba pamiętać, że historia jest ważna dla tożsamości i dla współczesności, ale jednocześnie nie wolno zablo-

*TRZEBA ZADBAĆ O PAMIĘĆ
O WOŁYNIU. I NIE PO TO,
ŻEBY BYŁA PRZECIWKO KOMUŚ,
ALE PO TO, BY BYŁA PRZESTROGĄ
DLA KOLEJNYCH POKOLEŃ*



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Paweł Kowal: Dziś głównym ograniczeniem ekshumacji nie jest liczba zgód ze strony ukraińskiej, tylko nasze możliwości prowadzenia tych prac w warunkach wojennych

kować się w myśleniu o przyszłości, o tym, co przed nami.

Ukraina wydała zgodę na ekshumacje. Dlaczego to, co przez lata było niemożliwe, teraz zaczęło być możliwe? I czy można wprost powiedzieć, że obecny rząd osiągnął w tej sprawie przełom?

Jeżeli ktoś jest uczciwy, to w oczywisty sposób powie, że kwestia ekshumacji jest przełomem. Unikam nazywania ekshumacji sprawami historycznymi, bo w tym przypadku chodzi o coś, co określiłbym jako „prawo do godnej pamięci o bliskich”. Jest to kwestia uniwersalna i niezależna od opinii na tematy historii czy polityki. Ludzie mają prawo poszukiwać swoich zmarłych, ekshumować ich, pochować i dać sobie możliwość modlitwy czy medytacji. Tak rozumiane prawo do godnej pamięci o bliskich ma też pewne umocowanie w prawie międzynarodowym. Faktycznie jest tak, że ten rząd pierwszy raz od kilku dekad doprowadził do tego, że ekshumacje mają w zasadzie charakter systemowy. Właściwie głównym ograniczeniem dzisiaj nie jest liczba zgód ze strony ukraińskiej, tylko nasze możliwości prowadzenia tych prac w warunkach wojennych. Ekshumacje, nawet w tak trudnych miejscach, jak Huta Pieniacka, gdzie na razie

trwały poszukiwania, a akcja ekshumacyjna jest już przygotowywana i odbędzie się w tym albo w przyszłym roku, jeszcze kilka lat temu uważano u nas za niemożliwe. Znam ludzi, którzy mówili mi, że nigdy się to nie uda. A dzisiaj mogę powiedzieć, że rząd Donalda Tuska doprowadził do przełomu w tej dziedzinie. Czasem myślę, że to nadmierne podsycane napięcie jest reakcją tych środowisk, które nie wierzyły, że w trudnych sprawach można dochodzić do porozumienia. Dla mnie najważniejsze jest to, że udało się rozpocząć ekshumacje. Najpierw były Puźniki, później kolejne miejsca, poszukiwania w Ugłach, Ostrówkach, Hucie Pieniackiej. Coraz więcej jest miejscowości, które znamy jako te, które przestały istnieć w wyniku zbrodni wołyńskiej. Dzisiaj często wracamy tam po to, żeby wypełnić obowiązek, ten archetyp Antygony: odnaleźć i pochować bliskich. To sprawa konkretnych rodzin, ale też sprawa narodowa.

Rozmawiał Pan z rodzinami ofiar Wołynia? Co z tych rozmów w Panu zostało?

Rozmawiałem między innymi z rodzinami ofiar z Puźnik. Byłem z nimi na pogrzebie w tamtym roku. To był pierwszy taki pogrzeb. Na tym pogrzebie większość polityków

chciała usiąść w pierwszym rzędzie. Intuicyjnie czułem, że powinienem być z boku. Znalazłem się w gronie dzieci i bliskich ofiar. Z nimi spędziłem trochę czasu: najpierw podczas mszy, a później jeszcze chwilę rozmawialiśmy. To zostało mi w głowie, ale uderzyły mnie pokora i cisza tych ludzi. Oni czekali na ten moment, ale nie robili z tego polityki. Nie miało dla nich znaczenia, jakie barwy polityczne ma ktoś, kto z nimi współpracuje. Szybko się zorientowałem, że oni sami mają różne poglądy polityczne. Ale wobec majestatu śmierci byli wyciszeni i być może po prostu wdzięczni Polsce, że po tych ośmiu dekadach stało się możliwe pochowanie bliskich. Gdzieś tam na cmentarzu we wsi, która już nie istnieje. Ta rozmowa z rodzinami ofiar z Puźnik, dotknięcie tego wszystkiego, co ich poruszyło, zostały mi mocno w pamięci.

Czy Ukraińcy rozumieją, czym dla Polaków jest Wołyń? Nie dyplomatycznie, ale rzeczywiście, emocjonalnie i moralnie?

Są dwie odpowiedzi, które czasami się krzyżują. Z jednej strony coraz więcej Ukraińców zaczyna to rozumieć i zdaje sobie sprawę z tego, że w momencie, kiedy chcą wejść do Unii Europejskiej i do NATO, mając na sztańda-

rze przywódców UPA, nie będzie to proste. Wartości, które stały za czystką etniczną, za ludobójstwem, nie mieszczą się w kanonie zachodnim, do którego Ukraińcy aspirują. Z drugiej strony wielu Ukraińcom wydaje się, że UPA jest najlepszą formą dodania siły, że ta tradycja jest jakąś formą wzmocnienia żołnierzy na froncie. Wydaje mi się to złudne. Myślę też, że tam, gdzie na pewne rzeczy nie możemy się zgodzić, trzeba mówić jasno: decyzja prezydenta Zełenskiego była strategicznym błędem, bo obniża poparcie dla wojennego wspierania Ukrainy w polskim społeczeństwie. Nie jest w interesie Ukrainy, nie jest też w interesie Europy Środkowej, żeby obywatele dużego kraju Unii Europejskiej, jakim jest Polska, zachowywali dystans wobec dzisiejszej polityki Ukrainy. W tym sensie to jest błąd strategiczny, nie tylko polityczny i historyczny, ale odnoszący się do samej istoty legitymacji tych rządów u nas, które chciałyby udzielać Ukrainie wsparcia.

A decyzja prezydenta Nawrockiego o odebraniu prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego? Jak ją Pan ocenia?

Zostawiam ją bez komentarza. Ostatnią rzeczą, której bym chciał, jest dalsze nakręcanie napięcia, które powstało. Myślę, że relacje polsko-ukraińskie, tworzone przez dekady, i zawsze się do tego odwołuję, bo to jest dla mnie jasne, z ogromnym udziałem Jana Pawła II, zasługują na to, żeby je w trudnym momencie chronić. Ta ochrona polega także na tym, żeby unikać wyostrażania komentarzy. W Polsce zgadzamy się, jeśli chodzi o ocenę UPA i jej spuścizny, ale w polityce kluczem jest skuteczność. Chodzi o to, czy narzędzia, których używamy, prowadzą do celu, który chcemy osiągnąć, czyli zmniejszenia gloryfikacji UPA.

Co jest dzisiaj najtrudniejsze w rozmowie z Ukraińcami? Interesy gospodarcze czy historyczne emocje?

Relacje polsko-ukraińskie są jak relacje polsko-niemieckie. Mają właściwie wszystkie możliwe wymiary. Trudno znaleźć jakiś element rzeczywistości, który nie miałby swojego odzwierciedlenia w relacjach polsko-ukraińskich. Musimy się przygotować na to, że one zawsze będą złożone. W jednej sferze będą udane, a w innej, na przykład w sferze pamięci historycznej, musimy się pogodzić z tym, że długo jeszcze nie znajdziemy wspólnego stanowiska.

Wróć do konferencji. Czy odbudowa Ukrainy nie powinna zaczynać się przede wszystkim od bezpieczeństwa? Co

z tego, że odbudujemy elektrownię czy szkołę, jeśli Rosja znowu je zniszczy?

Oczywiście. Dlatego tegoroczna konferencja odbudowy Ukrainy jest prawdopodobnie największą z dotychczasowych i dlatego istotnym elementem jest kwestia obronna, której wcześniej nie było. Wszystko zaczyna się od powstrzymania Rosji. Dlatego tak mocno skupiamy się na sprawach dronowych. Prekonferencja w Rzeszowie była poświęcona właśnie tej tematyce. Dzisiaj bardzo istotne są kwestie dronowe, obronne, udział Polski w ukraińskim doświadczeniu dronowym, a także udział Polski w tej technologicznej gorączce dronowej, która trwa na świecie. Właśnie dlatego tak ważne jest, że Komisja Europejska we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego znalazły dodatkowe pieniądze na produkcję podwójnego przeznaczenia. Chodzi dokładnie o technologie dronowe, które mogą być wykorzystywane w warunkach bojowych, ale jednocześnie są przygotowywane do celów cywilnych: rolnictwa, leśnictwa, transportu, logistyki. Badania nad dronami obejmują dziś wszystkie aspekty tej rewolucji: nowoczesne materiały, optykę, sztuczną inteligencję. Nie ma jednej technologii dronowej, chociaż niektórzy tak to nazywają. Jest wiązka technologicznych osiągnięć, które razem dają efekt nowoczesnego drona. Do tego potrzebna jest jeszcze jedna rzecz: doświadczenie bojowe. Dzisiaj ma je Ukraina i ta sfera jest dla naszej współpracy niezwykle istotna.

Czy Ukraińcy naprawdę widzą Polskę jako strategicznego partnera odbudowy, czy raczej jako sąsiada, przez którego wygodnie przechodzi logistyka, pomoc i dyplomacja?

Pani redaktor, między nami jest dokładnie tak jak między sąsiadami. Sąsiada zawsze postrzegam się jako kogoś bliższego, wobec kogo można sobie pozwolić na więcej, na przykład coś powiedzieć, czasami zbyt ostro. I to prowadzi do napięcia. Ale nie mam wątpliwości, że wśród polityków i ludzi opiniotwórczych na Ukrainie większość naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, jak istotna jest łączność z Polską. Bo sąsiad to też ten, z którym łączą nas najmocniejsze pozytywne emocje.

Pan występuje w podwójnej roli: z jednej strony jako polityk odpowiedzialny za współpracę z Ukrainą, z drugiej jako historyk, który wie, jak ważna jest pamięć i że ona nie zniknie, bo jest dla kogoś niewygodna. Która z tych ról jest dziś dla Pana trudniejsza?

Jest takie pojęcie, po angielsku contemporary history, po niemiecku Zeitgeschichte. Po polsku nazywamy to po prostu historią współczesną. To specyficzna historia, która mieści się jeszcze w ludzkiej pamięci, mniej więcej trzy pokolenia wstecz, około stu lat. Tyle mamy czasu na zadbanie o pamięć. Potem staje się ona już częścią twardej, odległej historii, już prawie bez żywych emocji. Myślę, że zawsze, kiedy jesteśmy około stu lat od tragicznych wydarzeń, one po raz ostatni tak mocno nabrzmiewają. Tak jest teraz z pamięcią o Wołyniu. Pamiętam, że kiedy zaczynałem zajmować się stosunkami polsko-ukraińskimi, takim nabrzmiałym tematem była wojna polsko-ukraińska z 1918 roku, czyli wojna o Lwów. Dzisiaj już mało kto, poza zawodowymi historykami, pamięta, o co tam chodziło. Myślę, że teraz jest czas, kiedy trzeba zbudować dobre, mądre muzeum wołyńskie. Trzeba zebrać relacje tam, gdzie jeszcze nie zostały zebrane. Trzeba zadbać o pamięć o Wołyniu. I nie po to, żeby była przeciwko komuś, ale po to, by była przestrożą dla kolejnych pokoleń. Ludobójstwo, czystka etniczna, zbójstwo wojenne - one domagają się od każdego polityka jasnego stanowiska. Polityk nie ma prawa dzielić tu włosa na czworo ani unikać odpowiedzi. To nie jest tylko historia dla historii, to się robi po to, żeby pokazać kolejnym pokoleniom, do czego prowadzi zbrodnia, nawet motywowana względami, które ktoś uważał za istotne.

Wierzy Pan, że konferencja o odbudowie Ukrainy w Gdańsku może zapoczątkować odbudowę polsko-ukraińskiego zaufania?

Myślę, że trzeba to czynić. To są relacje międzynarodowe, w których interesy przeplatają się z emocjami. Może potrzebujemy bardziej języka interesów, języka społeczno-gospodarczego, więcej racji gospodarczych. Może to nam pomoże - bardziej pragmatyczne myślenie o tym, co przed nami.

Nawet jeśli nie będzie przełomu, to po czym poznamy, że mimo wszystko idziemy w polsko-ukraińskich stosunkach w dobrą stronę?

Jestem pewien, że tak będzie. Wydarzenie na taką skalę i ogromny wysiłek organizacyjny Polski zostaną zauważone przez wiele osób, szczególnie w środowiskach gospodarczych na Ukrainie, ale także w całej Europie i w USA. Tak wynika z moich ostatnich rozmów prowadzonych w Waszyngtonie.

CO PAPIEŻE ROBIĄ W CZASIE WAKACJI?

W niedzielę 6 lipca Ojciec Święty Leon XIV wyjedzie na letni wypoczynek do papieskiej rezydencji w Castel Gandolfo. To jego drugi pobyt w letniej rezydencji. Z kolei jego poprzednik, papież Franciszek, odpoczywał w Rzymie

Mariusz Grabowski

Jak poinformowała Prefektura Domu Papieskiego, w „drugim Watykanie”, w historycznej, malowniczo położonej pod Rzymem posiadłości nad jeziorem Albano, papież będzie łączył „wypoczynek z modlitwą”. Wróci do pracy 20 lipca.

„Wakacje duchowe”

Przeczytajmy komunikat Prefektury, w którym podano papieską agendę. I tak: w niedzielę, 13 lipca o godz. 10 w Papieskiej Parafii św. Tomasza z Villanova w Castel Gandolfo Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà, przed Pałacem Apostolskim. W lipcu zawieszono zostaną wszystkie audyencje prywatne, a także audyencje generalne w środy: 9, 16 i 23 lipca. Te ostatnie wrócą od środy, 30 lipca.

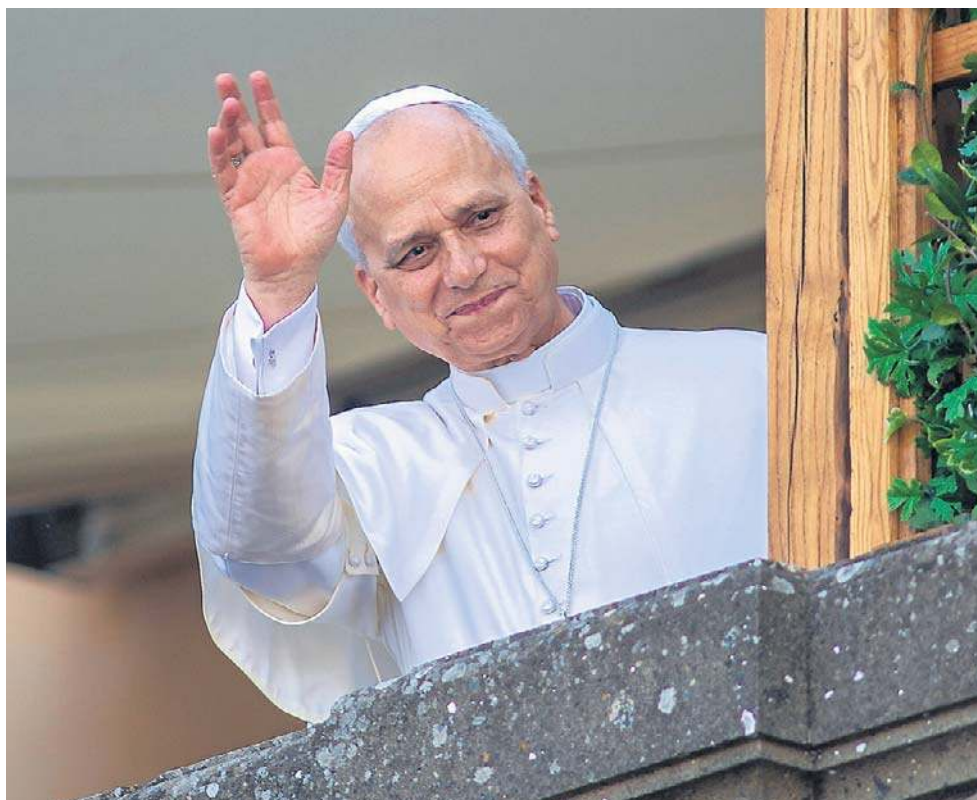
W niedzielę, 20 lipca o godz. 9.30, Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą w katedrze w Albano. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà w Castel Gandolfo. Po południu Ojciec Święty powróci do Watykanu.

A co po wakacjach? W piątek, 15 sierpnia o godz. 10 Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą w Papieskiej Parafii w Castel Gandolfo. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà. W niedzielę, 17 sierpnia o godz. 12.00, modlitwa Anioł Pański na Piazza della Libertà w Castel Gandolfo. Po południu Ojciec Święty powróci do Watykanu.

Dodajmy, że katedra w Albano, gdzie Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą 20 lipca, jest kościołem tytularnym kard. Prevosta od chwili nominacji na kardynała biskupa, którego jednak nie zdążył objąć.

Mozart Franciszka

Decyzja Leona XIV o odpoczynku w Castel Gandolfo jest symboliczna. Jego poprzednik Franciszek zrezygnował bowiem z tradycji wakacjonowania w miejscu kojarzącym się ze splendorem papieżstwa. Wolał odpoczywać w swoim mieszkaniu w Domu św. Marty i pozostawać blisko swojego codziennego otoczenia.



W ubiegłym roku w Castel Gandolfo Leon XIV odprawił mszę w intencji „opieki nad Stworzeniem”, spotkał się też z prezydentem Ukrainy

Charakter letniego odpoczynku papieża Franciszka znamy głównie z jego wypowiedzi. Zawieszał środowe audyencje ogólne, a czas poświęcał na osobistą modlitwę, lekturę książek oraz słuchanie muzyki, głównie klasyków wiekańskich (lubił zwłaszcza Mozarta w wykonaniu pianistki Clary Haskil). Jednak mimo braku oficjalnych wystąpień publicznych, „nierzadko zajmował się bieżącymi sprawami Kościoła”. Studiował np. dokumenty i projekty, które trafiały na jego biurko.

„Wolny czas Ojciec Święty spędza z dużym spokojem. Codziennie, gdy się spotykamy na porannej Mszy, widzę go pogodnego, radosnego. Cały czas zresztą pracuje i ma w rękach jakieś dokumenty albo korespondencję” - mówił latem 2016 r. papieski ceremoniarz ks. Guillermo Karcher. I dodawał: „Bardzo zależy mi na tym, by na jak najwięcej listów samemu odpowiedzieć. Ten czas wykorzystuję właśnie na nadrobienie zaległości w kontaktach z przyjaciółmi i bliskimi ludźmi, na których mu szczególnie zależy”.

Tu się oddycha...

Trudno zrozumieć dlaczego Franciszek nie lubił relaksu w Castel Gandolfo, które już w starożytności kusilo patrycjuszów, senatorów i cesarzy. Bliskość Rzymu sprawiła, że i książęta Kościoła szukali tu od średniowiecza ochłody i wypoczynku. Kiedy więc pod koniec XVI w. miasteczko-zamek, należący wcześniej do rodu Gandolfich, przeszło w ręce Stolicy Apostolskiej, wzniesiono tu willę papieską ze wspianymi ogrodami.

Była ona ulubionym miejscem kanikuły letniej dla wielu biskupów Rzymu aż do upadku Państwa Kościelnego w 1870 r. Po podpisaniu Traktatu Laterańskiego w 1929 r. między Państwem Włoskim a Stolicą Apostolską, pałac papieski w Castel Gandolfo oraz tzw. Willa Barberini i jej ogrody uzyskały status eksterytorialności i stały się częścią posiadłości papieskich.

Po drugiej wojnie Castel Gandolfo rozkwitło szczególnie w okresie pontyfikatów papieża: Piusa XII i Jana Pawła II. Za panowania naszego rodaka na Tronie Piotrowym letnia re-

zydencja stała się czymś więcej niż miejscem krótkiego wypoczynku papieża - była tętniącą życiem oazą spotkań z wiernymi, sympozjów naukowych i pracy twórczej.

Klasztory i basen

Do pałacu przylega lądowisko helikopterów, którymi papież przemieszczał się z Watykanu do swej letniej rezydencji oraz odkryty basen, wzniesiony za pontyfikatu Jana Pawła II.

Giekkawą częścią Pałacu Apostolskiego jest także obserwatorium astronomiczne, zwane Specola Vaticana, założone przez papieża Leona XIII w 1891 r. Zostało ono przeniesione do Castel Gandolfo z Ogrodów Watykańskich ze względu na niedostateczną widoczność nieba, którą utrudniały światła Rzymu.

Z kolei ogrody papieskie rozciągają się na przestrzeni setek metrów, pomiędzy centrum miasta a miejscowością Marino. Cały kompleks zajmuje powierzchnię 55 ha - jest zatem o 11 ha większy od Watykanu. W jego skład wchodzi trzy wille

kardynalskie: Cybo, Del Moro i Barberini, dwa klasztory kontemplacyjne (Klarysek i Bazylianów), 30 ha parku i ogrodów kwiatowych, 24 ha ogrodów warzywnych, obory i budynki gospodarcze.

Po co są wakacje?

Papież wielokrotnie podkreślał, że wakacje to nie czas bezczynności. To okazja do odnowy sił, ale także - jak mówił w sierpniu 2017 r. papież Franciszek - moment opatrnościowy, by „zwiększyć nasze zaangażowanie w poszukiwanie i w spotkanie z Panem”.

Ojciec Święty zachęcał wówczas wiernych, by w letnim okresie „odzyskiwali siły ciała i ducha”, nie zapominając o modlitwie i lekturze Słowa Bożego. Franciszek zawierał Maryi również osoby, które z różnych względów - zdrowotnych i ekonomicznych - nie mogą pozwolić sobie na wakacyjne wyjazdy.

Ponad dekadę wcześniej, 17 lipca 2005 r., papież Benedykt XVI spacerując w Dolinie Aosty przypomniał, że „wakacje dają wyjątkową możliwość zatrzymania się przed cudami natury - tej „wspaniałej księgi», dostępnej dla wszystkich, dużych i małych”. Bowiem, jak podkreślał, w kontakcie z przyrodą człowiek odnajduje swoją właściwą miarę. „Odkrywa na nowo, że jest stworzeniem (...) otwartym na Nieskończoność” - mówił.

Wstańcie, chodźmy!

Benedykt cenił wakacyjną aktywność, ale prawdziwym rekordzistą pod tym względem był Jan Paweł II. „Prawdziwy wakacyjny wypoczynek polega na tym, że uwalniając od zwykłych codziennych obowiązków, pozwala na nowo odkryć wartości, które zazwyczaj zaniedbujemy, takie jak kontakt z naturą, radość” - mówił będąc w Nowym Targu 8 czerwca 1979 r.

A kilkanaście lat później, w rozważaniach przed modlitwą „Anioł Pański” w lipcu 1996 r. dodawał: „W Księdze Rodzaju czytamy, że Bóg »odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął. Wtedy Bóg pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym; w tym bo-

wiem dniu odpoczął po całej swej pracy, którą wykonał stwarzając» (Rdz 2, 2-3). Te słowa objawiają duchowy sens odpoczynku i podkreślają jego potencjalny wymiar religijny”.

Papież-Polak spędzał wakacje czynnie. Nie tylko w Castel Gandolfo, ale także w Lorenzago di Cadore w Dolomitach, a przez dziesięć lat wędrując także przez włoskie Alpy, gdzie miał nawet skromną, zarządzaną przez salezjanów rezydencję w osadzie Les Combes w Dolinie Aosty (później był tam Benedykt XVI).

Na górskim szlaku

„Uderza radość Ojca Świętego w kontakcie z naturą. On w przyrodzie widzi więcej niż inni. Kontempluje piękno krajobrazu, bogactwo przyrody; cieszy się deszczem, słońcem, wiatrem” - mówił w 2004 r. Joaquín Navarro-Valls, hiszpański dziennikarz i lekarz, rzecznik Stolicy Apostolskiej, podkreślając, że dla osób, które wędrują z papieżem po Alpach, te wyprawy to także lekcja, jak patrzeć na góry oczyma papieża.

W czasie wakacji 2004 r. odpoczywający w Les Combes Jan Paweł II dostał od lekarzy zakaz wędrowek w góry powyżej 1700 m. Mimo że jego przewodnik Alberto Cerise przygotował dla niego aż 15 alternatywnych tras. „Po osnieżonych masywach Alp papież częściej teraz spaceruje oczyma” - mówił przepytany przez dziennikarza Cerise.

Jan Paweł II odbył więc jedynie spacer do miejsca, skąd można było podziwiać zaśnieżone szczyty. Po dotarciu do celu ochrona rozstawiła namiot, włączyła kocher i przygotowała posiłek. Po posiłku papież kontemlował piękno krajobrazu i odmówił Różaniec.

Wakacje z katem

Wróćmy jeszcze na chwile do papieża Franciszka, który za wakacjami najwyraźniej nie przepadał. Podczas jednej z rozmów z dziennikarzami „Il Sismografo” w 2016 r. wyznał, że ostatnio na „prawdziwy” urlop wyjechał z Buenos Aires w 1975 r. „Zawsze robię sobie wakacje, naprawdę, ale w domu; zmieniam rytm dnia. Więcej śpię, czytam, to, co lubię, słucham muzyki, wycieczki się modlą. I to mnie relaksuje” - powiedział.

Akurat w 2016 r. o żadnych wakacjach nie było mowy. 27 lipca wyleciał do Polski na Światowe Dni Młodzieży w Krakowie, a kilka wcześniejszych tygodni po prostu przechorował. Już 3 lipca, podczas niedzielnej audyencji z wiernymi na modlitwie Anioł Pański, Franciszek zwrócił się do nich bardzo przeziębiony: kichał, kaszlał i miał wyraźnie zmieniony głos.

Być może w sielskim klimacie Castel Gandolfo dolegliwości fizyczne nie byłyby dlań takie dotkliwe?

Pod koniec lat 60. Stanisław Jędryka, przyszły „dyżurny” spec od młodzieżowych seriali, miał za sobą zaledwie jedną produkcję skierowaną dla owej grupy - była to „Wyspa złoczyńców” z 1965 roku, czyli filmowa adaptacja jednej z powieści o panu Samochodziku.

Jędryka, wkrótce kojarzony głównie z serialami opartymi o prozę Adama Bahdaja, jeszcze w 1961 roku zainteresował się przeniesieniem na mały ekran powieści „Do przerwy 0:1”. Dlaczego akurat ten tytuł? Zapewne nie bez znaczenia był fakt, że reżyser, jako zapalony piłkarz, temat „dzikich” drużyn sportowych znał z własnego doświadczenia. Z kolei książka opowiadała o losach grupy chłopców, których marzeniem było zwycięstwo w piłkarskim turnieju drużyn podwórkowych. Tłem akcji była powojenna Warszawa.

Scenariusz na półkę

Jędryka i Bahdaj napisali scenariusz, który w czerwcu 1961 roku był rozpatrywany podczas posiedzenia Komisji Ocen Scenariuszy, gdzie zdecydowano, że... serial „Do przerwy 0:1” nie powstanie. Reżyser twierdził, że przyczyną takiej decyzji mogło być „mało wizerunkowe i propagandowe” ukazanie stolicy jako miasta zniszczonego i biednego, wypełnionego różnymi patologiami. Jakimi? Przykładowo w książce główny bohater Manius Tkaczyk „Paragon” zbiera butelki pozostawione przez okolicznych pijaków. W scenariuszu scenę tę lekko rozbudowano (najwyraźniej nie we właściwym dla władz kierunku) - otóż chłopiec spotyka robotnika z pobliskiej budowy, który stwierdza: „Przyjdź po wypłacie, to będzie większy asortyment”. W dodatku główni bohaterowie borykają się z brakiem sportowych strojów czy obuwia, zaś piłka przypomina dziurawy worek.

„Drugą potencjalnie niebezpieczną pułapką była kwestia drużyny piłkarskiej Polonia Warszawa, powszechnie uwielbianej i wszechobecnej w świadomości bohaterów zarówno powieści Bahdaja, jak i omawianego projektu. Jako marka kojarzona z okresem przedwojennym Polonia była już wówczas stopniowo deprecjonowana przez komunistów na rzecz Legii, która miała stać się najważniejszym stołecznym klubem. Jak wiemy, cel ten został osiągnięty - wystarczy wspomnieć graffiti »zdobiące« warszawskie ulice i budynki” - czytamy na stronie Znie-nacka.pl. Coś musiało być na rzeczy, bo gdy serial w 1969 roku wreszcie nakręcono, Polonia została z niego całkowicie wymazana. W książce zaś jest to ukończony klub Perełki, Mandżaro i Paragona.

„DO PRZERWY 0:1”. PODWÓRKO NICZYM WEMBLEY

Ten serial jak mało który ukazuje atmosferę powojennej Warszawy, w dodatku robiąc to oczami jej najmłodszych mieszkańców. Mieszkańców, którzy mimo swojej niełatwej sytuacji nie przestają gonić za marzeniami i... piłką. Wkrótce minie 57 lat od premiery serialu „Do przerwy 0:1”

Wojciech Obremski



O rolę zadziornego, obrotnego, choć trochę pechowego Paragona starało się 1,5 tysiąca kandydatów. Wszystkich ich pokonał 13-letni Marian Tchórznicki, którego reżyser wypatrzył na Starym Mieście podczas zabawy

Trzecim możliwym powodem odrzucenia serialu był fakt, że akurat wtedy realizowano inny film o bardzo podobnej tematyce. Była to „Bitwa o Kozi Dwór” w reżyserii Wadima Berestowskiego. Obraz opowiadał o rywalizacji dziecięcych drużyn piłkarskich w przedwojennej Warszawie. Decydenci najpewniej stwierdzili, że powstające w tym samym czasie dwie produkcje o zbliżonej do siebie treści to zbyt wiele. Ba, zaproponowano nawet Jędryce, by ten zamienił

piłkę na hokej. Nie był to koniec problemów. W późniejszym etapie wielu osobom nie spodobał się fakt, że Roman Wilhelmi, nieskazitelny Olgierd z „Czterech pancernych i psa”, ma zagrać typa spod ciemnej gwiazdy.

Z pięściami na Wilhelmię

Kiedy siedmiodcinkowy serial udało się w końcu nakręcić, różnił się nieco od książkowego oryginału. Poza wspomnianym usunięciem Polonii

Warszawa w niebyt, ulicę Górczewską zastąpiła Chmielna, Paragon, by zarobić pieniądze, nie sprzedaje gazet, tylko kwiaty, a wychowującą go ciotkę w serialu zastępuje samotna matka pracująca jako motornicza tramwaju.

O rolę zadziornego, obrotnego, choć trochę pechowego Paragona starało się 1,5 tysiąca kandydatów. Wszystkich ich pokonał 13-letni Marian Tchórznicki, którego reżyser wypatrzył na Starym Mieście podczas zabawy. Jednak na przesłuchaniu

okazało się, że Tchórznicki w ogóle nie radzi sobie z tekstem, a kamera go paraliżuje. - Przepadał gdzieś cała ta swoboda, którą zaobserwowałem u niego na ulicy. A przecież w filmie sytuacje były podobne! - wspominał Jędryka, który postanowił mimo wszystko dać chłopcu szansę. I warto było, bo z dnia na dzień Tchórznicki oswajał się coraz bardziej ze swoją rolą i filmowym otoczeniem.

- Ze zwykłego chłopca, który kopie piłkę na Powiślu, stałem się nagle znanym pol-

skim aktorem i w głowie lekko mi się przewracało - opowiadał po latach. Co przeważało, że to właśnie Tchórznicki został głównym bohaterem? Otóż na castingu miał odegrać scenę z Romanem Wilhelmiem, który celowo mocno uderzył chłopca, by wywołać u niego wzburzenie. Udało się. Wściekły Tchórznicki rzucił się na Wilhelmię, co spodobało się filmowcom.

- Po latach Wilhelmi, a miałem z nim dość dobry kontakt, mówi: „Ja cię specjalnie, Paragon, uderzyłem, bo chciałem z ciebie wydobyć to wszystko” - wspominał Tchórznicki, który niestety nie poradził sobie z nagłą sławą. Jeszcze jako 13-latek sięgnął po alkohol, a poczęstować go miał... sam Wilhelmi. Aktor był winien chłopakowi 300 złotych, a dług spłacił w formie zaproszenia Mariana na ajerkoniak do SPATIF-u.

- Schlałem się jak kot tym ajerkoniakiem. [Wilhelmi - przyp. red.] wziął taksówkę, zawiózł mnie na Bednarską [do mieszkania Tchórznickich - przyp. red.] i powiedział do mamy: „Tereska, oddaję syna, przepraszam” - opowiadał Tchórznicki.

Co ciekawe, młody aktor nie mówi w serialu swoim głosem - zdubbingowała go Krystyna Chimanienko. - To ona sprawiła, że Paragon jest wiarygodny i prawdziwy, a pewne sceny nabrały zupełnie innego wymiaru - twierdził Jędryka.

Prawdziwe mecze i nagrody

Finałowy mecz między drużynami „Huragan” i „Syrenka” kręcono w przerwie prawdziwego spotkania ligowego Legii. - Filmowa drużyna wybiegła na murawę i w ciągu piętnastu minut, przy pełnym stadionie, zrobiliśmy kilka ujęć. Chłopcy wychodzili z tunelu jak prawdziwi piłkarze, a na stadionie było wtedy jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi. Później dokończyłem ten mecz już bez publiczności. Fotografowałem sceny z góry, tak że nie było widać otoczenia, tylko samo boisko - wspominał reżyser.

Za to półfinałowy mecz na stadionie „Warszawianki” filmowano już bez udziału kibiców, w których wcielili się stacyści. Jednak sędziował prawdziwy sędzia piłkarski, któremu dano nawet scenę dialogową. W serialu wykorzystano także oryginalne fragmenty meczów Polski z Brazylią i Belgią.

Serial przyniósł Adamowi Bahdajowi i Stanisławowi Jędryce nagrodę zespołową Komitetu ds. Radia i Telewizji w dziedzinie filmowej twórczości telewizyjnej. „Do przerwy 0:1” ciepło przyjęto także za granicą, podobał się zwłaszcza w Szwecji. W 1970 roku zaś na ekrany kin wszedł film „Paragon gola”, zmontowany z wybranych odcinków „Do przerwy 0:1”.



O tych, którzy stworzyli Francję

Opowieść o rodzie, który przez stulecia władał królestwem Francji, przekształcając je z luźnego zbioru ziem w potężne państwo. Pełna wstrząsów religijnych, zaciętych bitew i zdrad.

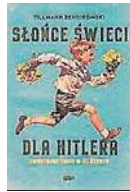
Justine Firnhaber-Baker, „Kapetyngowie”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 99 zł



Polityczny portret Czang Kaj-szeka

Tom autorstwa historyka Alexandra V. Pantsova to prawdziwa gratka dla każdego, kto pragnie zrozumieć skomplikowaną historię Chin XX w. oraz rolę, jaką odegrał w niej Czang Kaj-szek.

Alexander V Pantsov, „Zwięstwa i porażki”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 89 zł



Zwyczajne życie w III Rzeszy

Tillmann Bendikowski, autor tomu „Słońce świeci dla Hitlera”, zadaje fundamentalne pytanie: czy w państwie, w którym zbrodnia jest elementem codzienności, można prowadzić zwyczajne życie?

Tillmann Bendikowski, „Słońce świeci dla Hitlera”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł



Zofia Zaleska wyjaśnia sztukę średniowiecza

Co według św. Hildegardy leczyła maść z jednorożca? Jakie pojawiły się spin-offy Pieśni o Rolandzie? Dlaczego bóbr pokazywał swoje jądra? Na kogo polowano z fallicznymi dzidami?

Zofia Zaleska, „Me(m)diawistyka”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 74,99 zł



Duchowieństwo w PRL pod lupą

Rafał Łatka analizuje skomplikowane relacje między Kościołem a państwem komunistycznym. To kompendium wiedzy na temat aktywności hierarchów tamtych czasów.

Rafał Łatka, „Biskupi w realiach PRL”, wyd. IPN, Warszawa 2026, cena 60 zł



Opuscula św. Tomasza z Akwinu

W kolejnym tomie dzieł św. Tomasza z Akwinu znalazły się teksty: „O bycie i istocie”, „O zasadach natury do brata Sylwestra”, „Streszczenie teologii”, „O władzy” oraz „O substancjach czystych”.

„Dzieła mniejsze. Traktaty”, t. om 36, wyd. W drodze, Poznań 2026, cena 89,90 zł



Kuszące skandale tysiąclecia

Sławomir Koper pokazuje galerię postaci, których życie to gotowy materiał na film. Od Storradowny, Piastówny u boku wikingów, po Rozalię Chodkiewiczówną, która z Czarnobyla trafiła pod gilotyne.

Sławomir Koper, „Asceza, rozpusta, zbrodnia”, wyd. Zona Zero, Warszawa 2026, 49,90 zł



Lawina forsy dla Adolfa Hitlera

„Tajne pieniądze nazistów” ujawniają, że niszowa NSDAP już w 1922 r. otrzymywała fundusze od wpływowych postaci, takich jak Henry Ford i inni potentaci. A potem było jeszcze ciekawiej...

Hubert Kozieł, „Tajne pieniądze nazistów”, wyd. Replika, Poznań 2026, cena 59,90 zł



Na straży ruchu ludowego

Broszura poświęcona Stanisławowi Mierzwi (1905–1985), życiu i działalności tego wybitnego przedstawiciela ruchu ludowego, adwokata i społecznika.

Mateusz Ratyński, „Stanisław Mierzwa. Ludowiec, adwokat, konspirator”, wyd. IPN, Warszawa 2026, bc



Ostre smaki na Borough Market

Ten oryginalny „mały atlas hedonistyczny” to zaproszenie do celebracji życia w londyńskim stylu, daleko od turystycznego zgiełku pod Big Benem czy Tower Bridge.

Valentine Benoist, **Laura Jalbert**, „Londyn. Mały atlas hedonistyczny”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł



Czy teologia może być przystępna?

Marco Ronconi zaprasza do świata refleksji, gdzie teologia przestaje być abstrakcyjną nauką, a staje się bliską sercu rozmową o najważniejszych aspektach ludzkiego doświadczenia.

Marco Ronconi, „Teologia przy kawie”, wyd. W drodze, Poznań 2026, cena 49,90 zł



Mariologia według kard. Rysia

„O Maryi” kard. Grzegorza Rysia to nie tylko zbiór homilii i wystąpień. To także zaproszenie do poznania Matki Bożej w sposób, który rezonuje z wyzwaniem współczesnego człowieka.

Grzegorz Ryś, „O Maryi”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

■ NIERUCHOMOŚCI
■ HANDLOWE
■ MOTORYZACJA

■ FINANSE/BIZNES
■ NAUKA
■ PRACA

■ ZDROWIE
■ USŁUGI
■ TURYSTYKA

■ BANK KWATER
■ ZWIERZĘTA
■ ROŚLINY, OGRODY

■ MATRYMONIALNE
■ RÓŻNE
■ KOMUNIKATY

■ ŻYCZENIA
■ /PODZIĘKOWANIA
■ GASTRONOMIA

■ ROLNICZE
■ TOWARZYSKIE

Nieruchomości

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział! 602738759

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol. com.pl

Motoryzacja

OSOBOWE SPRZEDAM

OPEL Corsa 1.2, benzyna +gaz, tel. 690-417-297.

AUTOREKLAMA

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Besкиды, turnus 7dniowy od 1050zł. Ful opcja, cisza spokój, natura, miodowyray.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE_DACHÓW. 788-016-988.

USŁ. łazienki, hydraulika 696498391.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI., 668-571-329

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI odchowane 784 461 566.

AUTOREKLAMA

Polecamy →

motofakty.pl

Motoryzacja na wysokich obrotach

motofakty.pl



SPORTOWY24



Sport to Wy

sportowy24.pl

HISTORIA

Mjr Stanisław Delinger na celowniku gestapo

Wydany przez wrocławski oddział IPN tom „Śląsk Opolski w dobie powstań 1919-1921. Studia i materiały” to publikacja, która przenosi Czytelnika w sam środek burzliwych lat, kształtujących polską tożsamość na Śląsku. Zawiera tom studiów pod redakcją Tomasza Gałwiaczka i Ksawerego Jasiaka. Autorzy, bazując na solidnych fundamentach badawczych, pragną przybliżyć czytelnikom złożoność ówczesnych wydarzeń.

Panorama wydarzeń

Książka zawiera m.in. studium na ziemi namysłowskiej w wybranych tekstach doby przedpowstaniowej XVIII-XX w. (Tomasz Gałwiaczek); zarys historii polskiej konspiracji wojskowej w powiecie opolskim w latach 1919-1921 (Piotr Pałys); przypomnienie działalności Grupy „Północ” w strukturach Samoobrony Górnego Śląska w 1921 r. (Grzegorz Bębniak); historię niemieckich formacji zbrojnych w Lamsdorf, czyli w Łambinowicach (Piotr Stanek), czy wreszcie zarys udziału duchowieństwa pogranicza polsko-niemieckiego w powstaniach śląskich i plebiscycie po obu stronach rzek Liswarty i Proсны (Kamil Kęsik).

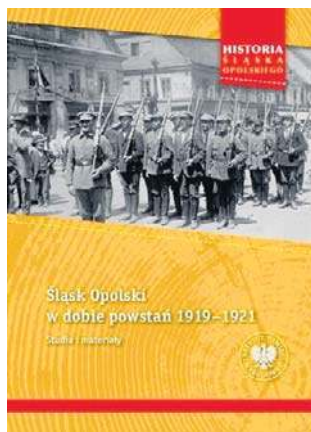
Szczególną uwagę zwraca jednak tekst Ksawerego Jasiaka z delegatury IPN ww Opolu „Losy Stanisława Delingera – oficera polskiego wywiadu wojskowego i korpusu Straży Granicznej II RP”. Delinger był członkiem POW, pierwszym kierownikiem Posterunku Wywiadowczego nr 4 w Praszce podczas powstania w 1919 r. oficera polskiego wywiadu wojskowego i Straży Granicznej do 1939 r.

Nie tylko Śląsk

Z tekstu Jasiaka wynika, że nadkomisarz Delinger już w dwudziestolecie był na celowniku Niemców. Po kampanii wrześniowej (w randze majora walczył w obronie Warszawy pod rozkazami gen. Czuma) dostał się do niewoli i trafił do ołagru VII w Murnau. Ale gdy obóz został wywołony 29 kwietnia 1945 r. przez pododdziały amerykańskiej 12. dywizji pancerniej, Delingera w nim nie było. Prawdopodobnie jeszcze w listopadzie 1939 r. został zabrany z ołagru przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym Stuthoff. Tam ślad po majorze Delingerze się urwał. Nie ma po nim śladów zarówno w archiwach niemieckich, jak i we wspomnieniach oficerów polskich zaarchiwizowanych przez Główną Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Hitlerowcy nie mogli mu zapewne zapomnieć epizodów śląskich, a także tego, że w latach 1935-1937 był kierownikiem grupy wywiadowczej Posterunku Oficerskiego, zajmującej się rozpracowywaniem struktur policji niemieckiej w Gdańsku. Jasiak dowodzi, że w latach 30. Delinger komenderował siatką blisko 40 agentów.

W jego CV jest jeszcze jedna ważna informacja: 1 kwietnia 1939 r. mianowano go nadkomisarzem Służby Granicznej. Już choćby z tej racji był jednym z tych, których metodyczna niemiecka mściwość dotknęła w pierwszej kolejności. **margra**



„Śląsk Opolski w dobie powstań 1919-1921. Studia i materiały”, wyd. IPN, Wrocław-Opole-Warszawa 2026, cena 45 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ŻURNALISTA

Nie ma zmiłuj

Wśród nazwisk celebrytów, którzy wystąpią w jesiennej edycji „Tańca z gwiazdami”, znalazł się Dawid Swakowski. To popularny podcaster, znany jako Żurnalista. Pudełek dowiedział się, że negocjacje z nim trwały długo i nie były łatwe. – Przez długi czas stał na stanowisku, że chce zarabiać 30 tys. zł za odcinek i uważał, że to i tak nie jest wygórowana cena. Ostatecznie spotkał się z Polsatem w negocjacjach mniej więcej w połowie drogi. Finalnie udało się ustalić, że będzie zarabiał między 20 a 25 tys. zł za odcinek, co i tak jest bardzo dużo, bo większość uczestników zarobi mniej. Do tego wymarzył sobie, że chce tańczyć z Izabelą Skierską i nie ma zmiłuj – powiedział informator serwisu.

AGNIESZKA HYŻY

Współczuje mężowi

Prezenterka jest związana z piosenkarzem Grzegorzem Hyżym i ma z nim syna Leona. Poza tym oboje małżonkowie wychowują dzieci z poprzednich związków – ona córkę Martę, a on bliźniaki Wiktora i Alexandra. Przy okazji miniego Dnia Ojca podzieliła się gorzką refleksją nad ojcostwem w rodzinach patchworkowych. „Nie każdy tata odwozi rano do szkoły. Nie każdy czyta codziennie na dobranoc. Czasem ojcostwo mieści się w ośmiu dniach w miesiącu i to nie mówi nic o sile tej relacji. Są ojcowie, którzy walczą o czas. Są ojcowie, którzy uczą się odpuszczać. Są ojcowie, którzy kochają dzieci partnerki i jednocześnie tęsknią za własnymi” – napisała na Instagramie.

DODA

Kochała gangstera

Podczas niedawnego wywiadu dla podcastu „Biznes Młjsja” piosenkarka nieoczekiwanie zdradziła, że na początku swej kariery w pierwszej dekadzie XXI wieku miała kontakty ze światem mafii. – Byłam raz zakochana w gangsterze. Napisałam nawet dla niego piosenkę. Opiszę to kiedyś w książce. Chciałam to opowiedzieć w swoim filmie, ale niestety nie wyrazili zgody na przeprowa-



Julia Wieniawa urlopuje się na południu Europy. Najpierw odpoczywała na Mykonos, teraz na Ibizie

dzenie wywiadu z osobami z taką przeszłością. On był jedynym z najbardziej nietoksycznych, spokojnych i uczciwych paradoksalnie mężczyzn, których spotkałam na swojej drodze. Nigdy mnie nie sprzedał, był zawsze lojalny, z charakterem i honorowy – powiedziała.

JOANNA OPOZDA

Dostała upominek

Aktorka jest od czterech lat mamą synka Vincenta. To owoc jej burzliwego małżeństwa z Antonim Królikowskim. Para rozstała się jeszcze przed narodzinami malucha. Byli partnerzy do dziś toczą zaciętką batalię w sądzie, czekając na oficjalny rozwód. W Dniu Ojca Opozda pochwaliła się w internecie prezentem, jaki otrzymała od syna. „Mój synek przyszedł dzisiaj do mnie po przedszkolu, przytulił mnie i dał mi ten prezent i mówi: »Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca, mamoo«. Przytulały wszystkie samodzielne mamy i samodzielnych ojców! Jesteście wspaniali” – napisała na Instagramie. W tle relacji pojawił się pamiętny utwór Majki Jeżowskiej sprzed lat pt. „A ja wolę moją mamę”.

ROKSANA WĘGIEL

Wyjaśniła zamieszanie

W kwietniu ksiądz z parafii w Dydni upomniał w czasie mszy piosenkarkę i jej męża, sugerując, że zerkomo nie za-

placili za ślub, który im dał w 2024 roku. Teraz w wywiadzie dla „Vivy” wokalistka powróciła do sprawy. – Oczywiście, że zapłaciłam, to po pierwsze. Po drugie, w Kościele nie ma czegoś takiego jak cennik, i on, mówiąc coś takiego, po prostu, niestety, stawia Kościół w złym świetle. Przez takich księży Kościół faktycznie dużo traci. On później poszedł po rozum do głowy i już się z nami skontaktował. Było dużo zamieszania w tej sprawie. Takie sytuacje mają krótkie nogi i wszystko wychodzi na jaw od razu, więc nie ma co zaczynać takich spekulacji i wprowadzać chaos – stwierdziła.

JULIA WIENIAWA

Korzysta z uroków

Piosenkarka od kilku tygodni urlopuje się na południu Europy. Najpierw odpoczywała na greckiej wyspie Mykonos w pięciogwiazdkowym hotelu Cavotagoo Mykonos. Potem obrała kurs na Hiszpanię i obecnie relaksuje się na Ibizie. Towarzyszy jej tam grono przyjaciół i influencerów. Wieniawa w pełni korzysta z uroków wyspy: pływa w błękitnej wodzie, szusuje na skuterach wodnych, wyleguje się w bikini na łódce, intensywnie się opala, pije drinki z kokosa i tańczy w klubach. Mało tego: zakolegowała się nawet z wenezuelskim aktorem i wokalistą Omarem Rudbergiem, który zdobył popularność za sprawą występów w serialu Netflix’a „Książęta”.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Wrażliwość pomoże zrozumieć innych. Horoskop na dziś zapowiada, że przed tobą dzień sprzyjający nauce, kontaktom i inspiracjom.

Ryby (19.02 - 20.03)

Kreatywne pomysły znajdują uznanie. Horoskop na dziś zapowiada, że przed tobą dzień sprzyjający nauce, kontaktom i inspiracjom.

Baran (21.03 - 19.04)

Konsekwencja przyniesie rezultaty. Horoskop dzienny na piątek radzi nie rezygnować z obranego celu, mimo chwilowych przeszkód.

Byk (20.04 - 20.05)

Dobry moment na nowe plany. Horoskop dzienny wróży, że optymizm przyciągnie ludzi i ciekawe okazje.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Intuicja podpowie właściwe rozwiązanie. Horoskop na dziś radzi zaufać sobie i unikać zbędnych sporów.

Rak (22.06 - 22.07)

Harmonia i dyplomacja będą Twoim atutem. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że ktoś doceni Twoje zaangażowanie i pomoc.

Lew (23.07 - 22.08)

Dobra organizacja przyniesie oczekiwane efekty. Horoskop dzienny wyraźnie podpowiada, że warto dopiąć sprawy odkładane od dawna.

Panna (23.08 - 22.09)

Pewność siebie pomoże Ci osiągnąć cel. Horoskop na dziś podpowiada, by uważać jednak i nie dominować nad innymi osobami.

Waga (23.09 - 22.10)

Dzień sprzyja sprawom domowym. Horoskop dzienny na piątek podpowiada, by znaleźć chwilę na odpoczynek oraz kontakt z bliskimi.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Czeka Cię ciekawa rozmowa. Horoskop dzienny mówi, że nowe informacje mogą otworzyć nowe możliwości.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Spokojne podejście pomoże rozwiązać problem. Horoskop na dziś wyraźnie podpowiada, by w relacjach postawić na szczerość i takt.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Energia sprzyja działaniu. Horoskop dzienny na piątek stanowczo radzi podjąć wyzwanie. Efekty bardzo pozytywnie Cię zaskoczą.

Brazylia zaczęła się rozkręcać na mundialu. Tylko co naprawdę dzieje się z Raphinhą?

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Brazylia wreszcie wrzuciła szósty bieg na mundialu i zagrała w północnoamerykańskim turnieju jak na wielką Brazylię przystało.

Canarinhos pewnie pokonali w ostatnim meczu grupowym Szkocję (3:0) po dwóch trafieniach Viniciusa Júniora i jednym Matheusa Cunhi, meldując się w fazie pucharowej z pierwszego miejsca. W kadrze Carlo Ancelottiego nie brakuje jednak problemów i powodów do zmartwień...

Reprezentacja Brazylii z meczu na mecz coraz wyraźniej łapie mundialowy rytm. Podopieczni Ancelottiego rozpoczęli turniej dość niemrawo, od remisu z Marokiem (1:1), gdy cenny punkt w starciu z jednym z najpoważniejszych rywali uratował Vinicius. W dwóch ostatnich meczach wygrali już po 3:0. Brazylijczyk z Realu Madryt jest zresztą w ostatnim czasie w znakomitej dyspozycji - trafił do siatki w każdym z trzech dotychczasowych starć z Marokiem, Haiti oraz Szkocją i ma już na koncie tyle samo goli, co goniący prowadzącego w klasyfikacji strzelców Leo Messiego Kyliana Mbappé i Erlinga Haalanda (po 4 bramki).

To właśnie od formy Viniciusa i Raphinhii w dużej mierze zależy ofensywna siła Canarin-



FOT. GRZEGORZ WALDA - NEW JERSEY

Brazylia może mieć problem z dyspozycyjnością Raphinii w najbliższych meczach w mistrzostwach świata. U piłkarza zdiagnozowano uraz mięśnia dwugłowego

hos. Gwiazdy Realu i Barcelony jedną indywidualną akcją potrafią przesądzić o losach spotkania, tyle że Brazylia może mieć problem z dyspozycyjnością Raphinii w najbliższych meczach w mistrzostwach świata.

Co z Raphinhą?

Raphinha doznał urazu w poprzednim meczu z Haiti i walczy z czasem, by wrócić do gry w kolejnej fazie turnieju. Według informacji dziennikarza

„Mundo Deportivo” Gabriela Sanza u piłkarza zdiagnozowano uraz mięśnia dwugłowego uda, co oznacza, że będzie pauzował około dwóch tygodni. Jeśli proces rehabilitacji przebiegnie zgodnie z planem, a także jego koledzy nie zawiodą w 1/16 i 1/8 finału, Brazylijczyk może wrócić na ćwierćfinał.

Dodatkowo w mediach pojawiły się doniesienia o jego trudnej sytuacji pozaboiskowej - zarówno rodzinnej, jak i finan-

sowej - a także spekulacje dotyczące możliwego transferu tuż po mundialu. W grę ma wchodzić ma m.in. odejście z FC Barcelony do saudyjskiego Al-Hilal, które miałyby pomóc mu ustabilizować sytuację poza boiskiem.

Do tych spekulacji odniosła się żona piłkarza. - Gdybyśmy mieli tylko 10 procent tego, co zarabia dziś Raphinha, i tak byłibyśmy bardzo błogosławieni. Gdybym opublikowała coś w stylu: „Patrzcie, nie jestem

biedna, wciąż jestem bogata”, ludzie oskarżyliby mnie o brak klasy... - oświadczyła.

Powrót Neymara

W reprezentacji Brazylii po raz pierwszy od prawie trzech lat zagrał Neymar, który walczył z czasem, aby wystąpić na swoich czwartych mistrzostwach świata. Z powodu kontuzji 34-latek opuścił dwa pierwsze mecze z Marokiem i Haiti, ale trener Ancelotti dał mu szansę powrotu, wpuszczając go na ostatnie czternaście minut spotkania ze Szkocją przy prowadzeniu 3:0. Brazylijczyk z przeszłości w PSG i Barcelonie oddał nawet jeden groźny strzał na bramkę, a po meczu nie krył wzruszenia.

- Poczułem dziś ogromną ulgę. Trochę się wzruszyłem i płakałem w samotności, bo to takie cudowne uczucie móc przeżyć to wszystko jeszcze raz. Dziękuję wszystkim brazylijskim kibicom, którzy mi kibicowali, a szczególnie mojej rodzinie i przyjaciołom - mówił poruszony powrotem na boisko w narodowych barwach.

Pierwsze rozstrzygnięcia

Brazylia wyszła z pierwszego miejsca w grupie C i w 1/16 finału zmierzy się z drużyną, która zajmie 2. miejsce w grupie F - o tę pozycję powalczą w bezpośrednim starciu Japonia i Szwecja.

Pierwszą parę fazy pucharowej mistrzostw świata 2026

utworzą niespodziewanie RPA z Kanadą. Reprezentacja Republiki Południowej Afryki po raz pierwszy w historii wyszła z grupy, pokonując - co prawda tylko 1:0, ale w pełni zasłużenie - Koreę Południową.

Pewna historycznego awansu z trzeciego miejsca (w grupie B) do grona 32 najlepszych zespołów północnoamerykańskiego turnieju może być także Bośnia i Hercegowina.

Co jeszcze przed nami? Ciekawie zapowiadają się mecze z udziałem goniących Messiego w klasyfikacji strzelców Erlinga Haalanda i Kyliana Mbappé, którzy w piątkowy wieczór staną naprzeciwko siebie w ostatnim meczu grupowym.

Ponadto, w nocy z piątku na sobotę czeka nas prawdziwy hit: Urugwaj zmierzy się z Hiszpanią w bezpośredniej walce o awans do fazy pucharowej. Dla polskich kibiców i wszystkich rannych ptaszków szczególnie interesująco zapowiada się jeszcze poranny mecz Egiptu z Iranem, w którym arbitrem będzie Szymon Marciniak.

NAJBLIŻSZE MECZE

Piątek, 26 czerwca:
godz. 21.00: Norwegia - Francja (TVP 1);
godz. 21.00: Senegal - Irak (TVP Sport).
W nocy z piątku na sobotę:
godz. 2.00: Republika Zielonego Przylądka - Arabia Saudyjska (TVP Sport);
godz. 2.00: Urugwaj - Hiszpania (TVP 1);
godz. 5.00: Egipt - Iran (TVP Sport);
godz. 5.00: Nowa Zelandia - Belgia (TVP 1).
© P

Piłkarskie mistrzostwa świata w statystykach. Tabele, punkty, gole

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Coraz bliżej zakończenia fazy grupowej w mistrzostwach świata. Znamy już coraz więcej zespołów, które zagrają w 1/16 mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku.

GRUPA A

Wyniki: Meksyk - RPA 2:0 (Quinones 9, Jimenez 67), **Korea Płd. - Czechy 2:1** (Hwang In-Beom 67, Oh Hyeon-Gyu 80 - Krejci 59), **Czechy - RPA 1:1** (Sadilek 6 - Mokoena 83), **Meksyk - Korea Płd. 1:0** (Romo 50), **Czechy - Meksyk 0:3** (Garcia 55, Quinones 61, Fidalgo 90+4), **RPA - Korea Południowa 1:0** (Masoko 63).

1. Meksyk	3	9	6-0
2. RPA	3	4	2-3
3. Korea Południowa	3	3	2-3
4. Czechy	3	1	2-6

GRUPA B

Wyniki: Katar - Szwajcaria 1:1 (Muheim 90+4 - Embolo 17), **Kanada - Bośnia i Hercegowina 1:1** (Larin 78 - Lukic 21), **Szwajcaria - Bośnia i Hercegowina 4:1** (Manzambi 74, 90, Vargas 84, Xhaka 90+7 - Mahmić 90+3), **Kanada - Katar 6:0**

(Larin 16, David 29, 45+3, 90+2, Saliba 64, Al Manai 75 samobój), **Bośnia i Hercegowina - Katar 3:1** (Alajbegović 29, Abunada (samob. 34, Mahmić 80 - Al Haydos 42), **Szwajcaria - Kanada 2:1** (Vargas 46, Manzambi 57 - David 76).

1. Szwajcaria	3	7	7-3
2. Kanada	3	4	8-3
3. Bośnia i Hercegowina	3	4	5-6
4. Katar	3	1	2-10

GRUPA C

Wyniki: Brazylia - Maroko 1:1 (Vincius Junior 32 - Saibari 21), **Haiti - Szkocja 0:1** (McGinn 28), **Szkocja - Maroko 0:1** (Saibari 2), **Brazylia - Haiti 3:0** (Cunha 23, 36, Vincius Junior 45+3), **Maroko - Haiti 4:2** (Hakimi 39, Saibari 45+1, Rahimi 78, Yassine 89 - Bono 10 (samob. Isidor 43), **Szkocja - Brazylia 0:3** (Vincius Junior 7, 45+3, Cunha 60).

1. Brazylia	3	7	7-1
2. Maroko	3	7	6-3
3. Szkocja	3	3	1-4
4. Haiti	3	0	2-8

GRUPA D

Wyniki: USA - Paragwaj 4:1 (Bobadilla 7, Balogun 31, 45+3, Reyna 90+8 - Mauricio 73), **Australia - Turcja 2:0** (Iranakunda 27, Matcalf 69),

USA - Australia 2:0 (Burgess 11 sam., Freeman 43), **Turcja - Paragwaj 0:1** (Galarza 2).

1. USA	2	6	6-1
2. Australia	2	3	2-2
3. Paragwaj	2	3	2-4
4. Turcja	2	0	0-3

GRUPA E

Wyniki: Niemcy - Curaçao 7:1 (Nmecha 6, Schlöterbeck 38, Havertz 45+5, 88, Musiala 47, Brown 68, Undav 83 - Comenencia 21), **Wybrzeże Kości Słoniowej - Ekwador 1:0** (Diallo 90), **Niemcy - Wybrzeże Kości Słoniowej 2:1** (Undav 68, 90+4 - Kessie 30), **Ekwador - Curaçao 0:0**.

1. Niemcy	2	6	9-2
2. WKS	2	3	2-2
3. Ekwador	2	1	0-1
4. Curaçao	1	1	1-7

GRUPA F

Wyniki: Holandia - Japonia 2:2 (van Dijk 51, Summerville 64 - Nakamura 57, Kamada 89), **Szwecja - Tunezja 5:1** (Ayari 7, 90+6, Isak 30, Gyo-kers 59, Svanberg 84 - Rekkik 43), **Holandia - Szwecja 5:1** (Brobbe 5, 17, Gakpo 47, 54, Summerville 89 - Elanga 59), **Tunezja - Japonia 0:4** (Kamada 4, Ueda 31, 83, Ito 69).

1. Holandia	2	4	7-3
2. Japonia	2	4	6-2
3. Szwecja	2	3	6-6
4. Tunezja	2	0	1-9

GRUPA G

Wyniki: Belgia - Egipt 1:1 (Ashour - Hany 66 samobój), **Iran - Nowa Zelandia 2:2** (Just 7, 54 - Rezaeian 32, Mohebbi 64), **Belgia - Iran 0:0**, **Nowa Zelandia - Egipt 1:3** (Surman 15 - Ziko 58, Salah 67, Trezeguet 82).

1. Egipt	2	4	4-2
2. Iran	2	2	2-2
3. Belgia	2	2	1-1
4. Nowa Zelandia	2	1	3-5

GRUPA H

Wyniki: Hiszpania - Republika Zielonego Przylądka 0:0, **Arabia Saudyjska - Urugwaj 1:1** (Al-Amri 41 - Araujo 80), **Hiszpania - Arabia Saudyjska 4:0** (Yamal 10, Oyarzabal 21, 24, Al-Tambakti 49 samobój), **Urugwaj - Republika Zielonego Przylądka 2:2** (Araujo 44, Canobbio 45+6 - Lenini 21, Varela 61).

1. Hiszpania	2	4	4-0
2. Urugwaj	2	2	3-3
3. Zielony Przylądek	2	2	2-2
4. Arabia Saudyjska	2	1	1-5

GRUPA I

Wyniki: Francja - Senegal 3:1 (Mbappe 66, 96, Barcola 82 - Mbaye 95), **Irak - Norwegia 1:4** (Hussein 38 - Haaland 28, 42, Ostigard 75, Hussein 98 samobój), **Francja - Irak 3:0** (Mbappe 14, 54, Dembele 66), **Norwegia - Senegal 3:2** (Pedersen 43, Haaland 48, 58 - Sarr 53, 90+3).

1. Francja	2	6	6-1
2. Norwegia	2	6	7-3
3. Senegal	2	0	3-6
4. Irak	2	0	1-7

GRUPA J

Wyniki: Argentyna - Algieria 3:0 (Messi 16, 60, 75), **Austria - Jordania 3:1** (Schmid 21, Al Arab 74 samobój, Amautović 100 z karnego, Olwan 49), **Argentyna - Austria 2:0** (Messi 38, 90+5), **Jordania - Algieria 1:2** (Al Rashdan 36 - Benbouali 69, Gouiri 82).

1. Argentyna	2	6	5-0
2. Austria	2	3	3-3
3. Algieria	2	3	2-4
4. Jordania	2	0	2-5

GRUPA K

Wyniki: Portugalia - DR Konga 1:1 (Neves 6 - Wissa 45+5), **Uzbekistan - Kolumbia 1:3** (Fay-

zullaev 60 - Munoz 40, Diaz 65, Campaz 90+9), **Portugalia - Uzbekistan 5:0** (Ronaldo 6, 39, Mendes 17, Nematov 60 samobój, Leao 87), **Kolumbia - DR Konga 1:0** (Munoz 76).

1. Kolumbia	2	6	4-1
2. Portugalia	2	4	6-1
3. DR Konga	2	1	1-2
4. Uzbekistan	2	0	1-8

GRUPA L

Wyniki: Ghana - Panama 1:0 (Yirenkyi 90+5), **Anglia - Chorwacja 4:2** (Kane 12 z karnego, 42, Bellingham 47, Rashford 85 - Baturina 36, Musa 45+5), **Anglia - Ghana 0:0**, **Panama - Chorwacja 0:1** (Budimir 54).

1. Anglia	2	4	4-2
2. Ghana	2	4	1-0
3. Chorwacja	2	3	3-4
4. Panama	2	0	0-2

CZOŁÓWKA STRZELCÓW

5 goli: Leo Messi (Argentyna)
4 gole: Erling Haaland (Norwegia), Kylian Mbappe (Francja), Vincius Junior (Brazylia)
3 gole: Johan Manzambi (Szwajcaria), Deniz Undav (Niemcy), Ismael Saibari (Maroko), Jonathan David (Kanada), Matheus Cunha (Brazylia). © P

Orlen Superliga Kobiet w nowym sezonie bez Piłki Ręcznej Koszalin

Jakub Lisowski, (DJ)
sport@gk24.pl

Klub z Koszalina oparty na współpracy uczelni, miasta i sponsorów - w XXI wieku odnosił sukcesy na arenie krajowej, pokazał się w Europie. Teraz nie radzi sobie z brakiem sponsorów.

W sezonie 2025/26 PR Koszalin dobrze prezentował się w rozgrywkach ligowych. Po rundzie zasadniczej miał realne szanse na brązowy medal, ale czym bliżej końca sezonu tym więcej było zmartwień kadrowych, ale i organizacyjnych. Powietrze z zespołu uciekało i ostatecznie PR zajęła 6. lokatę. Też dobrą jak na problemy z którymi borykał się klub.

O problemach finansowych i organizacyjnych koszalińskiego klubu mówiło się od dłuższego czasu. Rok temu PR stracił sponsora tytularnego, ale postanowił przystąpić do gry. Kłopoty narastały, wi-

doków na poprawę sytuacji brakowało i w maju klub nie otrzymała licencji na nowy sezon z powodu braku budżetu i zaległości.

Klub miał prawo się odwołać, ale i to było pod znakiem zapytania. - Musiałoby pomóc miasto, a takich obietnic nie było - mówi jedna z osób związana z Piłką Ręczną.

Miasto też nie chciało brać na siebie dodatkowego ciężaru, tym bardziej, że o awans do III ligi skutecznie walczyli piłkarze Bałtyku.

Teraz zapadła już decyzja Komisarza Ligi w sprawie licencji dla PR i Sośnicy Gliwice, która też nie dostała licencji w pierwszym terminie. Jak się okazało PR nie odwołał się i tym samym zrezygnował z gry w ekstraklasie. - W związku z tym władze Superligi podjęły decyzję o rozpisaniu procedury na prawo do tzw. „dzikiej karty” - czytamy w związkowym komunikacie. Dodajmy, że Sośnica skutecznie się odwo-



Piłka Ręczna Koszalin nie wystąpi w nowym sezonie w zmaganiach Orleń Superligi Kobiet. Czy zagra w Lidze Centralnej?

łała, ale ma tzw. nadzór finansowy i 6 punktów ujemnych.

Zarząd klubu wydał już oświadczenie.

- Z ogromnym żalem informujemy, że w sezonie 2026/2027 nasz klub nie wystąpi w rozgrywkach Superligi.

Powodem tej decyzji jest brak możliwości spełnienia wymogów licencyjnych, wynikający z trudnej sytuacji finansowej klubu. Pomimo intensywnych działań prowadzonych w ostatnich miesiącach, licznych rozmów z potencjalnymi partne-

rami oraz podejmowanych prób pozyskania dodatkowego finansowania, nie udało się zabezpieczyć środków pozwalających na stabilne funkcjonowanie zespołu na poziomie najwyższej klasy rozgrywkowej. Znaczący wpływ na obecną sy-

tuację miało wycofanie się sponsora tytularnego przed rozpoczęciem sezonu 2025/2026. Utrata kluczowego źródła finansowania stworzyła wyzwania, którego - mimo zaangażowania wielu osób i instytucji - nie udało się przezwyciężyć. Dziś naszym najważniejszym zadaniem jest odpowiedzialne zabezpieczenie przyszłości klubu. W związku z tym rozpoczynamy proces restrukturyzacji spółki, a naszym celem jest zgłoszenie zespołu do rozgrywek Ligi Centralnej Kobiet.

Chcemy podziękować wszystkim, którzy przez lata tworzyli historię naszego klubu - zawodniczkom, trenerom, pracownikom, wolontariuszom, sponsorom, partnerom oraz przede wszystkim kibicom? - to fragmenty oświadczenia.

Czy PR zagra na zapleczu ekstraklasy - przekonamy się wkrótce.

©©

Kiedy herbata jest za słodka, to nie da się jej pić

Robert Gębuś
robert.gebus@polskapress.pl

Rozmawiamy z Michałem Listkiewiczem, byłym sędzią międzynarodowym i byłym prezesem PZPN.

Ogląda pan na bieżąco mistrzostwa świata?

Na razie oglądam co trzeci mecz. Ta formuła niezbyt mi się podoba. Za bardzo jest wszystko rozwleczone i nie ma możliwości, żeby to wszystko wchłonąć, więc wybieram sobie najciekawsze spotkania. Nie ukrywam, że oglądam mecze które są pokazywane u nas w „cywilizowanych” porach. Wyjątek zrobiłem dla meczu Argentyny z Algierią, ze względu na polskich sędziów a pozostałe, to oglądałem te, które pokazują do północy.

W meczu Argentyny z Algierią Messi wszedł w nogę rywala, wyglądało to na faul kwalifikujący się na kartkę, ale sędzia tego nie odgwizdał. Jak pan to ocenia?

Wiedziałem, że to się tak skończy, bo wszyscy zabierają głos. Im ktoś się mniej zna na sędziowaniu czy na piłce nożnej, to głośniej krzyczy. Mówię tu o portalach internetowych i inter-

nautach. Tymczasem wyszedł komunikat FIFA, że decyzja sędziów była prawidłowa a szef sędziów FIFA, Pierre Luigi Collina w pełni akceptuje tę decyzję i tylko to się liczy. Cała reszta to tylko bicie piany.

Oczywiście, natomiast gdyby był VAR na żądanie, zespół Algierii mógłby to sprawdzić, sędzia wyjaśniłby to „na gorąco” i obyliby się bez bicia piany. To ostudziłoby emocje.

Pewnie tak, natomiast myślę, że decyzja byłaby podtrzymała, a gdyby każdą taką sytuację sprawdzać, mecz trwałby cztery godziny...

Dlatego mówimy o jednym takim sprawdzeniu na połowę, góra dwóch...

Tak, to dobry pomysł, natomiast w tej sytuacji było widać, że nawet zawodnik Algierii nie protestował po decyzji sędziego, nie było też nerwowej reakcji algierskiej ławki, więc nie sądzę, że oni akurat w tej sytuacji żądaliby tego, jak to nazywamy, challenge'u.

Przerośnięta formuła mistrzostw świata mężczy chybą wszystkich: piłkarzy, sędziów, trenerów, widzów. Każdy to odczuwa. Kiedy her-



Nie zdarzało się dotąd tak, że gospodarz dawał scenę i razem robił show. FIFA w tej kwestii zrobiła krok w tył

bata jest za słodka, to nie da się jej pić. Wszystko, co jest w nadmiarze, jest niestrawne. Trzeba przypominieć, że mistrzostwa świata kończą się 17 lipca a tydzień później zaczyna się liga, startują europejskie puchary, eliminacje mistrzostw Europy. To dawka wręcz śmiertelna. Oczywiście FIFA też ma argumenty na swoją obronę. Gdyby nie ich decyzje, to nikt by nie dowiedział się o wspaniałym sercu i umiejętnościach drużyny z Wysp Zielonego Przylądka, Curacao czy Kongo. Trochę nie docenialiśmy takich zespołów. To pokazuje, że jeszcze nie wszystko jest na sprzedaż i skomercjalizowane. Historia bramkarza Wysp Zielonego

Przyłądka po „czterdziestce” o przydomku „babcia”, który zachował czyste konto w meczu z Hiszpanią, czy obrońcy, który pracuje w banku i musiał wziąć urlop, żeby przygotować się do mistrzostw, to ukazuje lepszą twarz futbolu. Jest Leo Messi, fenomen, który za kilka dni kończy 39 lat, a wciąż cieszy się z gry jakby miał 19 lat. Radość, entuzjazm, koleżeńskość, duch zespołowości, to imponuje.

Sporą rolę w tegorocznych mistrzostwach świata gra polityka. Jak pan ocenia fakt, że sędzia somalijski Omar Abdulkarir Artan nie został wpuszczony na turniej?

Nie powinno tak być. Skoro sędzia został uznany najlepszym arbitrem Afryki i został zaproszony to nie może tak być, że nie zostaje wpuszczony. To tak, jakbym organizował urodziny, zaprosił pana z kuzynem a potem kuzyna zostawił za drzwiami. Niestety, jest to bardzo mocno powiązane z polityką. Komunikat FIFA, że nie ma wpływu na decyzję kraju organizatora, to jest trochę ściema. Pamiętam, że kiedy w Polsce organizowano EURO 2012 to UEFA wymusiła na nas zmianę całych ustaw, m.in.

sprzedaż piwa na stadionie itd. Polska musiała się bardzo ugiąć, żeby spełnić wymogi UEFA. Zawsze było tak, że gospodarz daje scenę a FIFA czy UEFA robi na niej show. Nie zdarzało się dotąd tak, że gospodarz dawał scenę i jednocześnie robił show. FIFA w tej kwestii zrobiła krok w tył.

Nie rozumiem, dlaczego lista sędziów nie została wcześniej uzgodniona pomiędzy władzami USA a FIFA? To pozwoliłoby uniknąć skandalu.

Zabrakło komunikacji ponieważ można było wcześniej FIFA zasygnalizować i powołałaby innego sędziego. Natomiast samemu sędziemu wyszło to na korzyść. Wzbudził ogromną sympatię, zyskał popularność. Sam też go wcześniej nie znałem, dziś zna go cały świat. Kanada zaprosiła go do sędziowania turnieju u siebie, UEFA wyznaczyła go do sędziowania Pucharu Europy. Myślę, że więcej zyskał niż stracił na tym, że nie wpuścili go do USA.

Bije panu mocniej serce, kiedy widzi pan w akcji syna?

Oczywiście, chociaż to jego trzeci mundial. Zawsze jest jednak ta nerwówka, żeby nie popełnić błędu. Tak było w Kata-

rze, tutaj też. Na szczęście żadnego jeszcze nie popełnił. Miał kilka trudnych sytuacji, dobrze mu poszło. Cieszę się, że już mnie przegonił i nie ma już dyskusji, który Listkiewicz jest lepszy.

Co jest bardziej stresujące? Sędziowanie, czy obserwowanie sędziowania syna?

Zdecydowanie oglądanie syna, bo jak sędziowałem to coś ode mnie zależało. Jak coś zawaliłem, to mogłem mieć pretensje a jak sędziuje Szymon Marciniak czy mój syn to mogę tylko ścisnąć kciuki, bo nie mam wpływu na to jak im pójdzie.

Komu pan kibicuje w tych mistrzostwach?

Argentynie, ponieważ to najpiękniej grający zespół. Jestem też pod wrażeniem Anglików, znakomicie grali. Ojczyzna futbolu po latach kryzysu wychodzi na prostą i wydaje mi się, że to będzie jeden z największych rywali Argentyny.

A kto może być czarnym koniem?

Myślę, że ktoś z dwójki Korea-Japonia. Bardzo mi się podoba ich podejście do sportu, do życia, jakoś gry. Grają bardzo ładną piłkę. ©©